NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 16 maja 1908. Nr. 20.

Przed procesem Siczyńskich.

(Treść na str. 2).



Treść numeru: Skon prezesa krajowego Związku sędziowskiego. — Święto patrona straży ogniowych. — Kółko dramatyczne warszawskich cyklistów. — Hołd książąt Rzeszy. — Nagła śmierć uczonego polskiego. — Demonstrancye studenckie w Wiedniu. — Pruska sprawiedliwość. — Banda cyganów morderców. — Ochrona wojenna kolei w Warszawie. — Królewicz-rozbójnik. — Uroczystość sokola we Lwowie. — Aresztowanie księcia krzywoprzysięscy. — Wesele w Petersburgu. — Konkurs hippiczny w Krakowie — i t. d. i t. d.

Przed procesem Siczyńskich.

(Do illustracyi tytułowej).

Już niezadługo, za kilka tygodni odbyć się ma we Lwowie przed ławą przysięgłych proces przeciw mordercy namiestnika hr. Potockiego, Mirosławowi Siczyńskiemu i jego matce. Śledztwo, które tymi dniami właśnie po mozolnej pracy radcy dr. Bersona zostało ukończone, nie dało prócz silnych poszlaków żadnych materyalnych dowodów istnienia spisku, proces więc odbędzie się tylko przeciw mordercy, a ewentualnie i przeciw jego matce. Akt oskarżenia wygotować ma prokurator państwa dr. Barth. Jest też możliwem, iż prokuratorya odstąpi od oskarżenia przeciw matce, śledztwo bowiem, jak głoszą, nie dostarczyło dowodów jej współwiny. Mimo to Izba radna uznała za konieczne zatrzymać Ołenę Siczyńską przez czas jakiś jeszcze w więzieniu śledczem, a apelacya uchwałę tę zatwierdziła.



Królewicz-rozbójnik: Książe serbski Jerzy.

Wobec zakończenia śledztwa, radca dr. Berson pozwolił rodzinie Siczyńskich zobaczyć się w więzieniu z matką mordercy, Ołeną. Przybyły córki jej i szwagier ks. Siczyński, paroch z Kozaczówki. W biurze dr. Bersona i w jego obecności odbyło się powitanie, tam też toczyła się rozmowa, oczywiście tylko o sprawach rodzinnych, bez poruszania kwestyi śledztwa.

O sprawie delegacyi sądu pozagalicyjskiego, nic dziś pewnego powiedzieć nie można, niema bowiem dotąd żadnego w tym kierunku podania. Wedle krążących pogłosek jednak klub posłów ukraińskich ma w tych dniach odbyć naradę z obrońcami i zadecydować, czy należy się o taką delegacyę starać, czy nie. Wynik takich starań byłby jednak w każdym razie wątpliwy.



Ochrona wojenna kolei w Warszawie: Grupa uzbrojonych strażników, chroniących jedną z kas kolejowych

Królewicz-rozbójnik.

Serbia niema szczęścia do swoich monarchów. Od chwili wybicia się z pod jarzma tureckiego przez cały ciąg dziewiętnastego wieku młode to państwo musiało powściągać zapędy swych panujących, którzy własną samowolą aż nadto jaskrawo przypominali ciężkie rządy mahometańskich padyszachów.

Obecnie najwięcej kłopotu przysparza ministrom serbskim pierworodny syn króla Piotra, królewicz Jerzy, który od dłuższego już czasu podejrzany jest o zboczenie umysłowe. Młody ten książe, wysoki, dość przystojny, odznacza się podobno niezwykłemi zdolnościami, których jednak pełnemu rozwinięciu stoi na przeszkodzie niezwykła gwałtowność charakteru. Już kilkakrotnie dopuścił się ten książe, liczący obecnie dwadzieścia dwa lat życia, zniewagi względem swych adjutantów; postępowanie jego było tego rodzaju, iż oficerowie nie chcieli nadal pełnić służby w zamku królewskim.

Obecnie donoszą o nowym jego, wprost niesłychanym wybryku. Miał on w przystępie szału zabić gwardzistę, pełniącego służbę na dworze. Zwłoki zabitego odesłano w tajemnicy do Kiczewo, miejsca rodzinnego ofiary. Tutaj jednak ojciec zabitego otworzył trumnę i zażądał urzędowego stwierdzenia zbrodni. Sprawa ta, którą początkowo starano się przytłumić, nabrała już pewnego rozgłosu, książe Jerzy nic jednak sobie z tego nie robi, a nawet wynalazł nową zabawkę, polegającą na wytrącaniu wystrzałami z pistoletu papierosów z ust żołnierzy.

Uroczystość sokola we Lwowie.

Sokolstwo lwowskie przeżyło minioną niedzielę jako dzień bardzo uroczysty, jako dzień wielkiego swego święta. Oto gniazdo „Sokół IV“ grupujące około siebie ludność dzielnicy łyczakowskiej, święciło swój sztandar. Uroczystość rozpoczęła się rano pochodem wszystkich czteru gniazd lwowskich z „Macierzą“ na czele, oraz delegacyami wielu towarzystw i orkiestrą „Czwartaków“. Licznie stawiła się także młodzież szkolna. Pochód pomaszerował wśród szpaleru publiczności na boisko sokole pod parkiem Łyczakowskim, gdzie odbyła się właściwa uroczystość. Przy ołtarzu odprawił cichą mszę św. ks. biskup Bandurski, a następnie dokonał poświęcenia sztandaru i wygłosił podniosłe, piękne kaza-



Fot. M. Münz, Lwów.

Uroczystość sokola we Lwowie: Kazanie ks. biskupa Bandurskiego na boisku sokolem.

nie. Przemawiali następnie naczelnik Związku sokolego A. Durski, prezes „Macierzy" lwowskiej dr. Czarnik oraz wiceprezes „Sokoła IV" dr. Korytko, poczem rozpoczęto wbijanie gwoździ przez rodziców chrzestnych sztandaru. Między tymi byli: zastępca marszałka kraju dr. Pilat, rektor uniwersytetu dr. Dembiński, prezydent miasta Ciuchciński, wiceprezydenci: dr. Rutowski i Neuman, delegaci towarzystw i bardzo wiele publiczności, przez zastępców zaś przysłali srebrne gwoździe ks. arcybiskupi Bilczewski i Teodorowicz, marszałek hr. Badeni, wielu profesorów uniwersytetu i posłów i t. d.

Ochrona wojenna kolei w Warszawie.

Po ostatnich napadach na kasy i płatników kolei Nadwiślańskich, zarząd z polecenia ministeryum komunikacyi zorganizował własną „straż wojenną". Strażnicy w liczbie kilkunastu na każdą zmianę, uzbrojeni w lekkie karabinki, wartują przy bramie, gmachu przy placu Trzech Krzyżów, oraz w kasach poszczególnych.

Na dany sygnał warty z jednych pomieszczeń spieszą z pomocą zagrożonym jakiemś niebezpieczeństwem towarzyszom. Warty czynne są całą dobę.



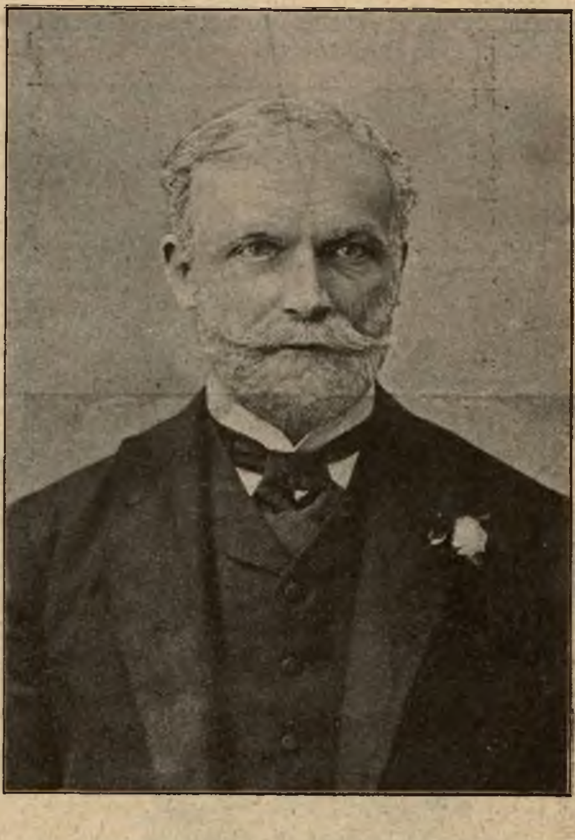
Banda cyganów morderców: Grupa cyganów, oskarżonych o spełnienie morderstwa.

Po tej ceremonii uszykował się pochód ponownie i ruszył przy dźwiękach orkiestry pod szkołę św. Antoniego przy ul. Łyczakowskiej, a przed poświęconym sztandarem odbyła się defilada. Popołudniu urządzono na boisku wielką zabawę sokolą, o bardzo urozmaiconym programie, a przy tłumnym udziale publiczności.

Za przykładem kolei Nadwiślańskich i kolej. Wiedeńska urządza podobną ochronę wojenną, przeważnie dla zabezpieczenia wagonów towarowych i węglarek.

Banda cyganów morderców.

Przed sądem przysięgłych w Budapeszcie toczy się od kilkunastu dni bardzo interesująca rozprawa karna przeciw bandzie cyganów, złożonej z siedmnaściorga osób, a oskarżonej o ohydny mord, jakiego przed kilku miesiącami mieli się jej członkowie dopuścić w miejscowości Dános na rodzinie tamtejszego oberżysty.



Aresztowanie księcia krzywoprzysięscy: Książę Filip Eulenburg.

Dotychczas nieznano wypadku, aby cygani mordowali w celu rabunku, tak iż nawet przez dłuższy czas wątpiono o winie ich. Dopiero stanowcze zeznania młodej dziewczyny, która należała do bandy, potwierdziły podejrzenia.

Oskarżeni cyganie, to typy charakterystyczne, o twarzach albo pięknych, albo wprost odrażających. Do winy nikt z nich przyznać się nie chce, mimo stanowczych bardzo zeznań świadka klasycznego i całego szeregu dowodów, pozbieranych przez sąd śledczy. W wypieraniu się czynu zbrodniczego wszyscy posługują się jedną i tą samą metodą: przeczą wszystkiemu, nic nie widzieli, nigdzie nie byli, nie mają nawet pojęcia, gdzie miejscowość Dános jest położona, a co do zeznań świadków twierdzą, iż są kłamliwe.

Duże wrażenie wywarło przesłuchanie klasycznego świadka, czternastoletniej Liny Kolompar. Zezna-



Fot. K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.

Wesele w Petersburgu: Król szwecki Gustaw Adolf z admirałem Dubasowem przed cerkwią w twierdzy Petropawłowskiej.

wała ona śmiało i wyraźnie, podając każdy szczegół jej wiadomy, co oczywiście wywoływało formalne rozwścieczenie oskarżonych. Grozili jej pięściami, gdy opowiadała o strasznej zbrodni swych dawnych towarzyszów, gdy im przypominała poszczególne momenty mordu.

Rozprawa przeciw cyganom wywołała w Budapeszcie ogromne zaciekawienie, a sala rozpraw przepełnioną była przez cały ciąg procesu publicznością wytworną. Zwłaszcza panie stawiły się bardzo licznie i to wyłącznie ze sfer wyższych. Wyrok, jaki ma zapaść w najbliższych już dniach, będzie niewątpliwie zasądzający.

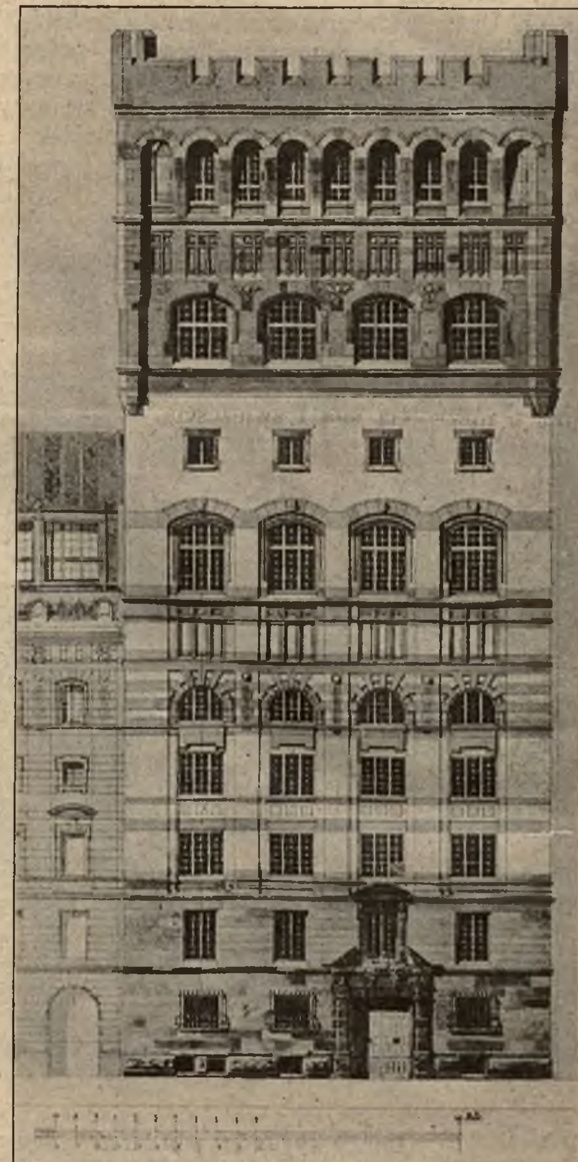


Banda cyganów morderców: Lina Kolompar, klasyczny świadek dowodowy.

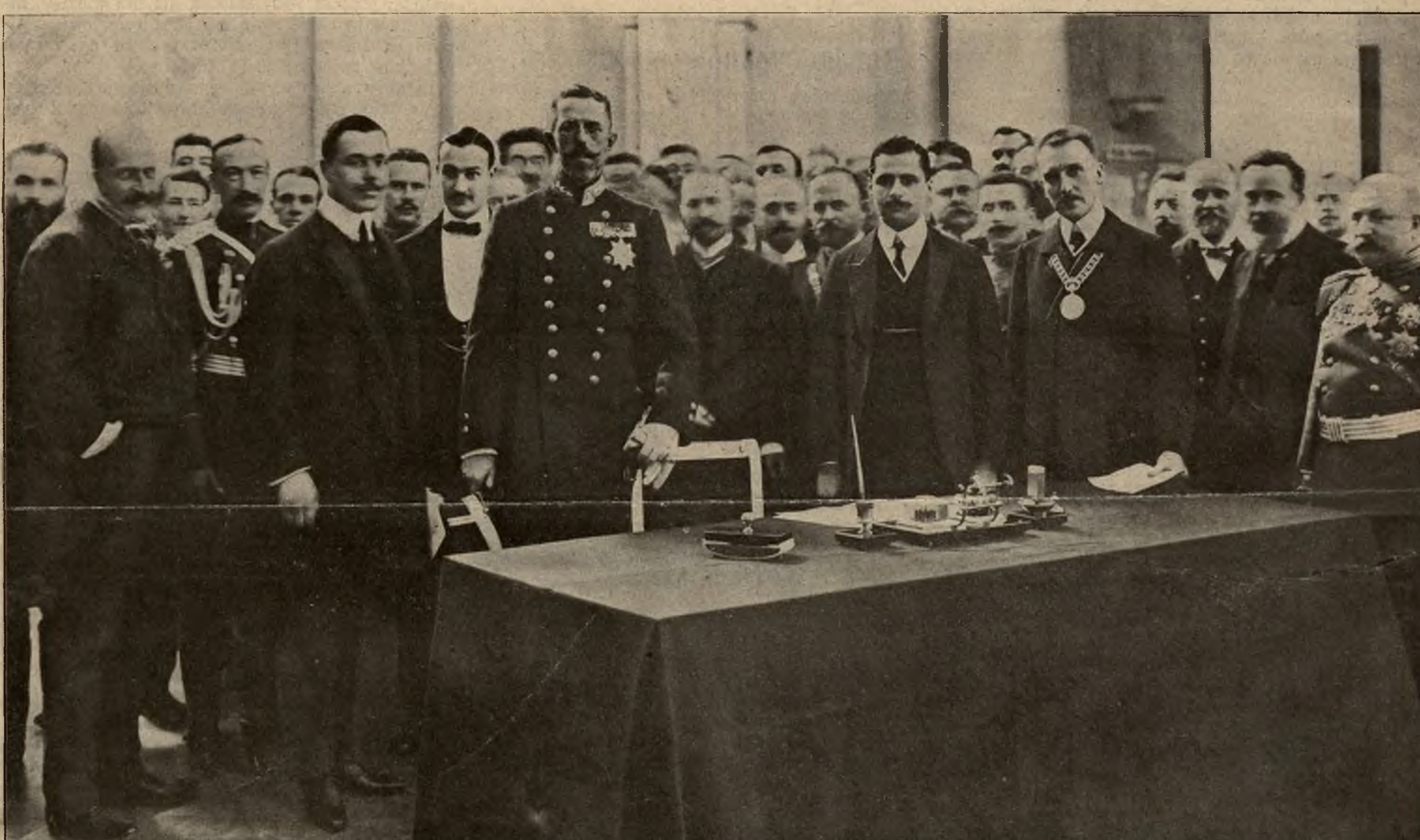
Aresztowanie księcia krzywoprzysięscy

Pruską kamarylę dworską spotkał wreszcie druzgocący cios, który jej od dłuższego już czasu zagrażał. Najpotężniejszy magnat współczesnych Prus, który trząsł całem państwem, mianował kanclerzy, kierował krokami cesarza Wilhelma, został wreszcie aresztowany pod zarzutem krzywoprzysięstwa.

Księciu Filipowi Eulenburgowi dowiedziono w konfrontacyi z dwoma świadkami, iż zeznania jego, złożone pod przysięgą w dwóch poprzednich procesach Hardena, były fałszywe. Książe wyparł się wówczas wszelkich imputowanych mu wykroczeń przeciwko moralności, dzisiaj jednak dwaj świadkowie Riedl i Ernst zeznali, że książe wykonywał na nich czynności niemoralne. Lecz gdy dumny książe i tutaj jeszcze znalazł odwagę zaprzeczenia wszystkiemu, wtedy podano mu własnoręczny list, stwierdzający niezbicie jego winę. Ujrzawszy ten kompromitujący dowód, książe odwrócił się plecami do przybyłych urzędników i orzekł, iż nic nie będzie mówił. To też prokuratorya była zmuszoną wydać rozkaz aresztowania księcia i przewiezienia go ze względu na ciężki stan zdrowia do szpitala więziennego w Berlinie, gdzie jest pilnie strzeżony. I dzisiaj schorowany starzec ten sześćdziesięcioletni, osobisty i zaufany przyjaciel monarchy niemieckiego, dziedziczny pan na Liebenbergu zostaje jak każdy zwykły opryszek pod strażą ajentów policyjnych by nie uciekł.



Pierwszy drapacz chmur w Polsce: Projekt gmachu zakładu telefonów w Warszawie.



Fot. K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.

Wesele w Petersburgu: Król szwecki w Dumie, otoczony posłami i dziennikarzami, przed złożeniem podpisu w księdze pamiątkowej.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

26

Z werandy szerokiej był rozległy widok na dolinę, przez którą przebiegała kolej, na fabryki i miasteczko, a na prawo i lewo wznosiły się lesiste i uprawne wzgórza. Tuż za domem niemal szumiał las, a wiatr przynosił zapachy pól i oddech żywiczny jodeł i świerków.

Inspektor stał przez chwilę, rozkoszując się malowniczym widokiem, gdyż od czasu zakochania się w Jance, uśpiona przez biurokratyzm wrażliwość na piękno, poezyę, na życie, rozbudziła się w nim z niezwykłą siłą i świeżością.

— Gdyby tak z nią tu zamieszkać — zamajaczyło mu w myślach — zdala od kolei, ludzi... podziwiać wschody i zachody słońca, słuchać muzyki lasu, patrzeć w gwiaździste niebo i czuć ją blisko siebie, tę ukochaną, uwielbianą. Otoczyć ją troskliwością, usunąć wszystkie utrapienia i przykrości i widzieć ją zawsze rozpromienioną szczęściem i radością... Gdyby...

Przerwał te marzenia głos faktora:

— Panie inspektorze, czy pan bierze ten dom, czy tamten?

Przez chwilę zastanowił się i rzekł:

— Biorę jeden i drugi.

— Na co panu aż dwa?

— To moja rzecz — i zaszedłszy do gospodyni, ułożył się co do ceny, potrzebnych mebli i zobowiązał ją, ażeby jutro opuściła dom.

Następnie pojechał do fabryki, wynajął domek w lesie, zabrał klucze i wynająwszy powóz, pojechał do Janki. Pojechali oboje, ażeby i ona mogła obejrzeć najęte mieszkanie. Domek w lesie podobał się jej nadzwyczajnie, zachwycił ją szeroki widnokrąg, szum sąsiedniego lasu, widok kwietnej łąki, szmer pobliskiego źródła, obok którego przepływał jasny potok górski. Na samo mieszkanie mało zwracała uwagi i obejrzawszy pobieżnie mówiła rozradowana:

— Tu sprowadzę mamę i siostry i będzie mi jak w raju... Jaki pan dobry, że wyszukał taki cudowny, cichy zakątek leśny — a mówiąc to, spojrzała mu w oczy ze szczerą wdzięcznością.

— Byłbym zapomniał o liście, gdyby nie wzmianka o matce — równocześnie poszukał w kieszeni i podając list, dodał: — dziś na dworcu oddano mi dla pani.

Otworzyła i szybko odczytała. Zarumieniona spojrzała na niego, gdyż w liście donosiła matka, że dostała z dyrekcyi roczną zapomogę na kształcenie dzieci i jednorazowy zasiłek. Janka domyśliła się, że Lerche przyczynił się do tego i bez wyjaśnień podała mu rękę, mówiąc:

— Dziękuję... w imieniu mamy.

Uścisnął podaną rękę i mówił swobodnym głosem, rozpogodzony i uszczęśliwiony jej uśmiechem zadowolenia:

— Potrzebne bilety dla rodziny pani będą gotowe, niech mama się zgłosi... a od jutra może pani tu zamieszkać, oto klucze...

— Ile jednak kosztuje wynajęcie?

— W imieniu pani zawarłem umowę, będzie pani płaciła dwadzieścia koron miesięcznie.

— To za tanio... pan żartuje...

Lerche był przygotowany na ten zarzut i wręczając spisaną umowę, rzekł:

— Zechciej pani przeczytać.

— Chyba tylko ze względu na pana oddała fabryka tak tanio — mówiła po przeczytaniu.

— To już ich rzecz, nie moja. Zażądali, zapłaciłem i koniec.

— Zwrócę panu, tylko nie teraz — zarumieniła się.

— Dobrze... Kiedyż pani sprowadzi się tutaj?

— Nie wiem... chyba po przyjeździe mamy, bo gdzież będę się stołowała?

— Ta sprawa już załatwiona — uśmiechnął się — ten domek murowany, widać go z werandy... najęła na lato moja daleka ciotka, bardzo poważna osoba, znająca się na kuchni... ona bardzo chętnie przyjmie panią na stół, zwłaszcza że choruje na oszczędność.

— A kiedy sprowadza się ta pani?

— Jutro w południe i zanim matka pani przyjedzie, może pani stołować się w tym murowanym domku.

— Bardzo chcę tu zamieszkać — mówiła niepewnym głosem — ale mam pewne wątpliwości... zresztą namyślę się.

Lerche spostrzegł, że naleganie może pogorszyć sprawę, więc uśmiechnął się i rzekł:

— Termin zostawiam do woli pani, ale do namysłu daję trzy dni. Dziś napisze pani do domu, może pani da mnie list, odeślę dzisiaj, to będzie prędzej... a matka pani pojutrze może być tutaj.

— Prawda... jedźmy do domu, napiszę list i oddam panu.

Inspektor, siedząc w wagonie, wyjął list Janki, przypatrywał się adresowi, pismu i szczerze żałował, że nie umie odgadywać z pisma charakteru i usposobienia piszącego. Lecz po chwili uśmiechnął się. Po cóż odgadywać, gdy on ją zna, jej charakter, usposobienie, ona przecież taka szczera, prawdomówna, że całą jej duszę widać, jak dno w kryształowem źródle.

Ta matka Janki tylko na razie zaniepokoiła go, gdyż obawiał się, że ona swem zachowaniem, przyzwyczajeniami, sposobem mówienia popsuje mu tę atmosferę poetyczną i piękną, którą otoczył Jankę. Teraz już się uspokoił, w ten lub ów sposób zatrzyma matkę w mieście, a mała siostra, będzie czy nie będzie, to rzecz podrzędna.

Przyjechawszy do miasta, wprost z dworca kazał się zawieść do znajomego, zarządzającego kilku kamienicami. Po krótkim targu załatwił sprawę. Trawecka, matka, dostanie rządcostwo jednego domu za mieszkanie i dziesięć koron miesięcznie.

— Ale natychmiast pan ją zawiadomi o posadzie administratorki — mówił na wychodnem.

— Dobrze, ale z jakiego tytułu?

— Hm... słyszał pan... powiedziano panu na kolei, bo ona jest wdową po nadkonduktorze... ale, ale, miejsce musi objąć od jutra i opuszczać miasta nie może.

— Już pan inspektor mówił mi o tem i pamiętam.

— Za godzinę sprawa będzie załatwiona, umowa podpisana i o mnie ani słowa. Dobrze?

— Może pan liczyć na mnie.

Zaledwie Trawecka ochłonęła z radości po otrzymaniu posady, o której marzyła od czasu propozycyi Łuki, zjawił się woźny z dyrekcyi, mówiąc po przywitaniu:

— Jeden z panów urzędników przywiózł list od pani kasyerki z Horyni, córki pani, i prosi o odpowiedź.

— Niechże pan siądzie — zapraszała Trawecka z odcieniem dumnego zadowolenia, że woźny dyrekcyi przynosi list córki.

Odczytawszy list zawołała Manię i Klarcię i rzekła:

— Janka pisze, ażebyśmy pojechali do niej... nie rozumiem jej wcale. Wie, że chłopak w sklepie, ty praktykujesz Maniu, ja mam gospodarstwo na głowie, a teraz to i całą kamienicę, a ona prosi nas na świeże powietrze. Z czego żyć? co będzie? nie pyta wcale... Ty jedna Klarciu jedź do niej, a może w niedzielę pojedzie do niej Mania na jeden dzień.

— Szkoda! — westchnęła Mania, gdy uradowana Klarcia klaskała w dłonie i biegając po pokoju, wołała:

— Pojadę!... Na wieś!

— Jakąż odpowiedź daje pani? — spytał poważnie woźny.

— Alboż pan nie słyszał?

— Muszę to mieć na piśmie... i kiedy pani wyśle tę małą? Najlepiej jutro o dziewiątej rano... mam znajomego konduktora, zaopiekuje się dzieckiem.

— Dziękuję panu, mam i ja znajomości... ale jutro nie mogę posłać Klarci, trzeba wyprać to i owo.

— Jutro mamo, jutro — zaczęła prosić i przymilać się Klarcia.

— Niech ją mama puści.

— Hm... co prawda bilet ma być gotowy... może i jutro.

— Poco te namysły — wtrącił się woźny — poco marynować dziecko w takie spieki miejskie?

— I to prawda — skinęła głową Trawecka, ocierając z czoła nieistniejący pot — Klarcia pojedzie jutro.

— No, a odpowiedź na list?

— Dam Klarci, poco trudzić pana urzędnika.

. . . .

XV.

Janka nie spodziewała się wcale ani tak szybkiego przyjazdu matki, ani też zwolnienia ze służby i jak zwykle przyszła o godzinie ósmej, ażeby zmienić Osteckiego po jego nocnej służbie.

Po godzinie dziewiątej rano wszedł naczelnik w towarzystwie młodego jeszcze blondyna i rzekł do Janki bardzo uprzejmie:

— Z rozporządzenia dyrekcyi dzisiaj rozpoczyna pani dwumiesięczny urlop... panu Zagajskiemu — wskazał na wprowadzonego urzędnika — ma pani oddać kasę.

Po skończonej czynności oddania kasy, Janka uczuła wielką wdzięczność dla Lerchego, że tak szybko załatwił sprawę urlopu, gdyż dziś, może pod wpływem rad i przestróg doktora, czuła się bardziej osłabioną i pożądała spoczynku. Zaledwie jednak ułożyła się na kanapce, ażeby wypocząć, posłyszała na kurytarzu hałas i silny stukot w drzwi wejściowe. Podniosła się niezadowolona z kanapki i gdy otworzyła drzwi, wpadła do kuchenki Klarcia, wołając:

— Przyjechałam do ciebie... mama nie może, została administratorką kamienicy, czy ty wiesz Janko!?

Ucałowała małą, ośmioletnią siostrzyczkę i upomniała:

— To brzydko Klarciu tak krzyczeć... co mówiłaś o mamie?

— Jest list do ciebie, tam w koszyku, i mama przysłała dla ciebie pierniki — wskazała na koszyk, który ustawiał posługacz.

— I ty sama przyjechałaś?

— O nie, było dużo pań i panów, a konduktor mnie pilnował, chociaż sama wiedziałam, że w Horyni mam wysiąść.

Janka odczytała list matki i była nim stropiona. Już wczoraj niemile ją dotknęła nadzwyczajna opieka inspektora, jazda powozem, najęcie mieszkania, niepokoiła się tą troskliwością, ale liczyła na przyjazd matki. Wprawdzie on mówił o swej ciotce, wspominał o przyjeździe jej matki, nie może mu więc zarzucić braku delikatności, ale mieszkać samej, z takiem dzieckiem, zdala od ludzi...

Spojrzała na Klarcię, którą interesowały wszystkie przedmioty w pokoju i nieustannie mówiła:

— Jak u ciebie ładnie Janko... te meble kupiłaś?... Jaka śliczna lampa... A od kogo masz tę kanapkę?... I jakie łóżko piękne! O, ładniejsze, aniżeli u mamy!

Biegała z kąta w kąt, nic nie uszło jej uwagi, o wszystko się dopytywała.

Janka znużona odpowiadała z roztargnieniem i patrząc na Klarcię, myślała nie bez goryczy:

— Co zrobię z tą małą? Jak ją zabawię? Jak dopilnuję?

Wreszcie Klarcia, wyjrzawszy przez okno, zawołała:

— Janko! Tam, na dole bawią się dzieci i ja pójdę, dobrze?

— Idź, ale baw się koło domu.

Po jej wyjściu znów opadły ją wątpliwości. Ten Lerche jest jednak za czuły, za troskliwy, jak na przyjaciela. Spełnia wszystko, czego ona zażąda, patrzy w jej oczy, spogląda na nią z takiem nabożeństwem, czyżby on kochał ją istotnie? Chyba niemożliwe, przecież różnica wieku jest zbyt wielka. I co ona może mieć z nim wspólnego? On, człowiek dojrzały, urzędnik na wpływowem stanowisku, z przekonania burżuj i zaledwie pod jej wpływem zostaje „sympatykiem", a ona, młoda manipulantka, uboga, z przekonań socyalistka. U niego jest to chwilowa sympatya, może nawet przyjaźń, ale nic więcej, bo niczem nie upoważniła go do mniemania, że mu się odwzajemni, co prawda i on niczego nie żądał od niej. I tak usilnie krytykowała i odtrącała myśl, że on działa pod wpływem zakochania się w niej, że wreszcie przyszła do zgody ze sobą i uznała, że u niego jest to co najwyżej upodobanie, omamienie zmysłów, lecz wkrótce ochłonie i pozostanie sympatya wzajemna, która prawdopodobnie zamieni się w przyjaźń.

Upewniwszy się pod tym względem, postanowiła czekać dalszego rozwoju wypadków.

Wyjrzała oknem i zobaczyła Klarcię, bawiącą się wybornie z dziećmi mieszkańców kamienicy i pomyślała: — ale co ja zrobię z nią tam w lesie?...

W tej chwili zastukał ktoś do drzwi, i nie czekając na otwarcie, wszedł do kuchenki. Janka ujrzała w pokoju starszą kobietę, niemal siwą, dość dobrej tuszy, która oddychając głęboko usiadła na pierwszem spotkanem krześle i odpoczywała ze zmęczenia. Janka podeszła do niej, napróżno siląc się nad rozwiązaniem pytania, kto ona i czego chce.

Dopiero po dobrej chwili, przemówiła siedząca pani:

— Ależ schody przykre... jestem Lityńska... ciotka inspektora Ludwika Lerche... słyszała pani o mnie?

Janka w milczeniu skłoniła głową, a starsza dama zaczęła:

— Mój siostrzeniec, inspektor, zawiadomił mnie, że pani stołowałaby się u mnie, aż do przyjazdu matki. Przyszłam się dowiedzieć, czy pani trwa w tym zamiarze?

Janka spojrzała badawczo na niespodziewanego gościa, a wygląd tej pani siedzącej z godnością, sposób jej mówienia, wzbudziły w Jance zaufanie, odpowiedziała też:

— Dziękuję pani za propozycyę i przyjęłabym, ale wpierw muszę wiedzieć warunki i nie ja jedna stołowałabym się, lecz i moja mała siostra, Klarcia.

— Pogodzimy się... do wójta nie pójdziemy — uśmiechnęła się przyjaźnie — mówił mi Ludwik, że doktor polecił pani dobre odżywianie się. Postaram się, ażeby moja kuchnia smakowała pani.

— O tem jestem przekonana, ale cena? Muszę się obliczyć...

— Dzisiaj powiem.. Zależy od ceny mięsa, drobiu, masła, nabiału... obliczę się i wieczorem zajdę do pani, jako mej sąsiadki i pogadamy... Czy pani dziś się sprowadza do nowego mieszkania? Szkoda każdego dnia...

— Jeszcze nie wiem... to zależy.

— Ale w zasadzie godzi się pani na stołowanie się u mnie?

— Posłyszę warunki.

— Nie bądźże pani uparta, kiedy mówię, że się pogodzimy, to tak się stanie. Czy to ja lichwiarka, żebym zdzierała ludzi?

— Więc dobrze... pogadamy.

— Dziś wieczorem.

— Kiedy nie wiem...

— Cóż za brak stanowczości?! Kiedy byłam w pani wieku, jak raz sobie powiedziałam tak, to musiało być tak. Nie był to upór, uchowaj Boże, ale trzeba mieć charakter i odwagę, bo inaczej straci się szacunek dla siebie.

Janka obliczyła swe fundusze w myśli. Miała jeszcze dwadzieścia koron, wystarczy do pierwszego, chociażby płaciła i po dwie korony, a że matka nie chce więcej jak trzydzieści koron, bo będzie miała mieszkanie i pensyę, więc i na drugi miesiąc niemal wystarczy. Po namyśle odpowiedziała:

— Dobrze, dziś wieczorem umówimy się co do ceny.

— Tak to lubię — uśmiechnęła się przyjaźnie starsza dama — niech się pani spakuje i czekam z podwieczorkiem u siebie.

Dziwnie dobrze się składa — pomyślała z zadowoleniem Janka — mam śliczne mieszkanie, Klarcię i ta poważna pani zajmie się gospodarstwem, będę wolna jak ptak, będę pracowała, czytała... będę żyła!

Gorączkowo zaczęła pakować do kosza bieliznę, suknie, pościel, chcąc jak najprędzej opuścić to mieszkanie, które wydawało się jej duszne, przykre, niemiłe, gdyż w myśli miała obraz odosobnionego domku, szumiący las i jasny potok, przeskakujący z kamienia na kamień.

Na wyjezdnem przyszła Zgierska i żegnając się, mówiła więc:

— Ach, jak zazdroszczę pani, że opuszcza pani tę plotkarską kamienicę. Tu każdy podpatruje, podsłuchuje, liczy minuty, jak długo ktoś zabawi. Ja aż się pokłóciłam o panią, bo tu każdy na panią... to przez zazdrość...

— Niech im pani pozwala mówić, co zechcą— śmiała się Janka — nic mnie plotki nie obchodzą . . .

— O co to, to nie — obruszyła się Zgierska — ja zawsze stanę w obronie pani... A przy sposobności zwróć pani uwagę inspektora na krzywdę mego męża, należy mu się awans. Nie zapomni pani?

— Będę pamiętała.

Jeszcze na wsiadanem Zgierska polecała swego męża, nawet Klarcię ucałowała, mówiąc:

— A przypomnij siostrze o moim mężu... zresztą sama odwiedzę panią.

Tego samego dnia inspektor Lerche był na podwieczorku u swej ciotki wraz z Janką i Klarcią...

Podwieczorek był suty, prócz kawy były ciastka, poziomki i świeży wiejski chleb, o który postarała się ciotka. Lerche był bardzo ożywiony, wesoły, opowiadał zabawne sceny z życia kolejowego, a tak serdecznie i dobrze patrzał na Jankę, że podejrzenie swe o zakochaniu się jego w niej uznała ona za swe własne urojenie i zarozumiałość...

— Tak nie lubię tytułowania — mówiła ciotka z niesmakiem — a tymczasem, nawet tu na wsi słyszę: „panie inspektorze“, dobrze, że jeszcze ty nie mówisz Ludwiku: „pani kasyerko“. Dlaczego nie macie sobie mówić po ludzku, po imieniu? A jak panią nazywają w domu?

— My mówimy Janko — zawołała Klarcia.

— Bardzo ładnie... Więc proszę was, przy mnie mówcie do siebie panno Janko, panie Ludwiku,



Ucałowała małą, sześcioletnią siostrzyczkę.

a bezemnie używajcie na tytułach... — zaśmiała się ciotka.

— Ja zgadzam się ciociu, a pani „kasyerka“ co myśli?

— Jestem posłuszna „pani konsyliarzowej“ i „panu inspektorowi“—zaśmiała się wesoło Janina.

Starsza dama z dobrym uśmiechem pogroziła jej, mówiąc:

— Nie żartuj ze starszych i nie dokuczaj im, takie jest przykazanie...

— Towarzyskie — dodał szybko Lerche — a panna Janka nie uznaje więzów i form towarzyskich.

— Myli się pan... W życiu żądam szczerości, a każda myśl, uczucie, jeśli ma się uzewnętrznić, musi posiadać formę i mnie idzie o to ażeby dana forma odpowiadała prawdziwej treści.

— Wy możecie sobie filozofować — uśmiechnęła się ciotka — a ja muszę pomyśleć o kolacyi — i wstała od stołu.

— Ja pójdę z panią, dobrze? — zawołała Klarcia.

— Siedź tutaj, przeszkodzisz — upomniała siostra.

— Ależ nie, ja bardzo lubię dzieci, chodź Klarciu.

— Byłbym zapomniał — rzekł inspektor Lerche po ich wyjściu — a trzeba dopełnić pewnej formalności.

— Jakiej?

— Podpisać kwit na udzieloną pani sumę — wstał, poszukał atramentu i pióra. Podał wydrukowany kwit i rzekł: — w tem miejscu podpisze pani — i sięgnąwszy po pugilares, odliczył trzysta koron.

Janka wbrew woli zarumieniła się z zadowolenia, skinęła głową na podziękowanie i schowała pieniądze.

— Jakie jednak niezdrowe i niesprawiedliwe stosunki panują w dzisiejszem społeczeństwie — mówiła Janka, gdy w prowadzonej rozmowie dotknięto sprawy zależności podwładnych — kto ma protekcyę temu dobrze, a zabraknie jej, schodzi się do rzędu wyrobników, których kupuje się czas, przekonania, nawet honor, albo taki biedak ginie.

— Wszystko idzie ku lepszemu — zapewniał Lerche — nie tak dawne czasy, a robotnika uważano za siłę roboczą, bezmyślną i bez woli. Uświadomienie robotnika to duża zasługa socyalizmu dla ludzkości.

— Więc pan uznaje socyalizm? — spytała z żywością.

— Jako ideę szanuję i uznaję.

— Od dawna?

— Mówiąc szczerze, to od czasu poznania pani. Pragnąłem poznać umysł i duszę pani, a wiedząc, żeś pani socyalistką, wziąłem się do Marksa, Kautsky'ego i innych...

— Czy mówi to pan przez uprzejmość, czy z przekonania?

— Naprawdę z przekonania.

— I mogę liczyć na pana w razie potrzeby.

— Najzupełniej.

— To dobrze, to bardzo dobrze— mówiła uradowana — teraz mogę już panu zwierzyć się obejrzała się po pokoju, czy nie podsłuchuje kto.

— Panno Janko, przejdźmy się, w pokoju mimo otwartych okien, duszno.

Wyszli przed dom, a Lerche powiedział z uśmiechem:

— Pójdziemy obejrzeć rezydencyę pani, czy dobrze będzie w tym domku? — a na jej potakujące skinienie dodał: — niechże pani mi teraz zaufa.

— Otóż Wapieński pojechał do partyi w Łodzi, a mnie polecił odbieranie paczek dla transportowania ich do Królestwa. Moja obecność przy pociągach z powodu służby jest uniemożliwiona, podjął się więc pośrednictwa pomiędzy oddającymi a mną Stański... Teraz rozumie pan, dlaczego tak nalegałam, ażeby on tu został?

Słuchając jej, obudził się w Lerchem najpierw człowiek spokojny, legalny, urzędnik odpowiedzialny wobec rządu i policyi, ale Janka była tak piękna, takie przebłyski zapału szczerości były w jej oczach, a głos zwierzenia taki harmonijny, że nie umiał oprzeć się jej urokowi i odpowiedział poważnie:

— Teraz rozumiem... Zatem pani i on przemycacie do Królestwa zakazane tam rzeczy, i jakie?

— Odezwy, gazety, broszury... to, co nam wręczą.

— Więc i broń, a może bomby? — uśmiechnął się niedowierzająco.

— Uprzedzono nas, że i to być może, ale dotychczas nie było.

— I nie obawiacie się odkrycia? zdrady?

— Z czyjej strony? — zdziwiła się — o tem wie oddający, Stański, ja, no i przemytnicy, obecnie i pan, ale pan przecież nasz i pewny.

— Wiem, że tu w Horyni są szpiedzy rosyjscy i ci mogą was pochwycić.

— Czy pan pewny, że szpiedzy są?

— Najpewniejszy.

— A ja nie widziałam żadnego.

— Przecież nie rekomendują się — uśmiechnął się — mają tutejszych ludzi, dobrze płatnych.

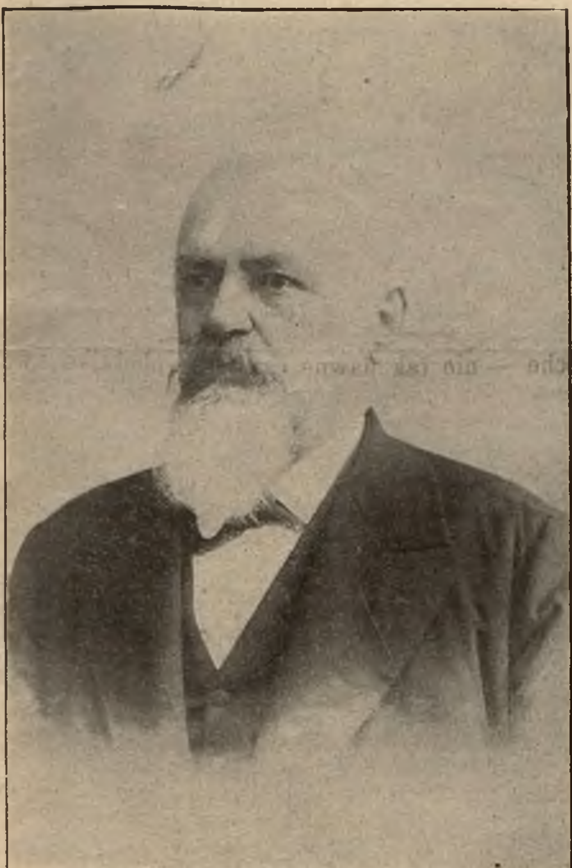
— Kto panu mówił o tem?

— Jeden z wyższych urzędników policyi ostrzegał nas.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Skon prezesa krajowego Związku sędziowskiego.

Po krótkiej chorobie zmarł w sobotę ubiegłą we Lwowie prezes przed niespełna rokiem nowo założonego Związku sędziowskiego, radca wyższe-



Skon prezesa krajowego Związku sędziowskiego: Leopold Hauser.

go sądu krajowego i radny miasta Lwowa, Leopold Hauser, honorowy obywatel miast Przemyśla, Monasterzysk i Żółkwi.

Z niezwykłą gorliwością a raczej poświęceniem oddawał się pracy zawodowej, a wśród sędziów zajmował jedno z najwybitniejszych stanowisk, lubiany przez wszystkich tak dla swych zdolności jak i prawości charakteru. To też kiedy w lecie ubiegłego roku ukonstytuował się we Lwowie krajowy Związek sędziowski, powołano ś. p. Hausera na prezesa wydziału Związku. Wydział Związku zawiadamiając o śmierci swego pierwszego prezesa powiada, że „poniósł niepowetowaną stratę z powodu śmierci nieodżałowanego swego założyciela i pierwszego prezydenta".

Poza pracą zawodową czynny był na rozmaitych polach życia publicznego, występując wszędzie jako szermierz prawdziwego postępu. Przed trzema laty wszedł do rady miejskiej z ramienia opozycyi, której dotrzymał wierności aż do zgonu. Umarł przeżywszy lat 63.

Święto patrona straży ogniowych.

Staraniem i sumptem krakowskiego towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń odbyło się w ubiegłym tygodniu w dniu św. Floryana uroczyste nabożeństwo w kościele św. Floryana. Na nabożeństwie tem zjawiła się dyrekcya towarzystwa ubezpieczeń, spory zastęp urzędników, a dalej straż pożarna miejska i ochotnicza pod wodzą swych naczelników.

Po nabożeństwie ruszyły karne szeregi strażackie pochodem pod gmach towarzystwa ubezpieczeń przy ul. Basztowej i ze sztandarami przedefilowały przed dyrekcyą instytucyi.

Św. Floryan jest patronem straży ogniowych, jest też patronem tow. wzajemnych ubezpieczeń. Towarzystwo to opiekuje się od szeregu lat strażami pożarnemi w kraju i na cele ich rozwoju przeznacza rokrocznie po kilkadziesiąt tysięcy koron.

Rycina nasza przedstawia pochód ochotniczej straży krakowskiej ze sztandarem z kościoła pod gmach towarzystwa ubezpieczeń.

Kółko dramatyczne warszawskich cyklistów.

W sportowej korporacyi w Warszawie, w towarzystwie „cyklistów", dzięki inicyatywie trzech członków pp. Rzewuskiego, Kawczyńskiego i Kaima, zawiązane zostało „Kółko dramatyczne", którego celem było uprawianie sztuki scenicznej i rozbudzenie w korporacyi słabnącego życia towarzyskiego.

Dzięki usilnej pracy i wielkiemu zamiłowaniu, organizatorzy, przezwyciężywszy wszelkie trudności, w dniu 13 stycznia 1907 r. urządzili pierwszy wieczór amatorski, którym odrazu zdobyli sobie wielkie uznanie i powodzenie.

Zrobiwszy pierwszy krok, „Kółko" zaczęło się pomyślnie rozwijać. W sezonie zimowym na początku roku 1907 „Kółko" urządziło 7 wieczorów, w ciągu których grano cały szereg utworów scenicznych znanych autorów, między tymi „Debiutantkę" i „Schadzkę" Zygmunta Przybylskiego. Oprócz tego „Kółko" dwukrotnie przyjmowało udział w zabawach, urządzanych latem na korzyść Towarzystwa opieki nad dziećmi.

Trupa „Kółka" składała się z kilkunastu, zgranych ze sobą osób.



Kółko dramatyczne warszawskich cyklistów: Grupa amatorów, członkowie Kółka, w siedzibie towarzystwa »na Dynasach«.

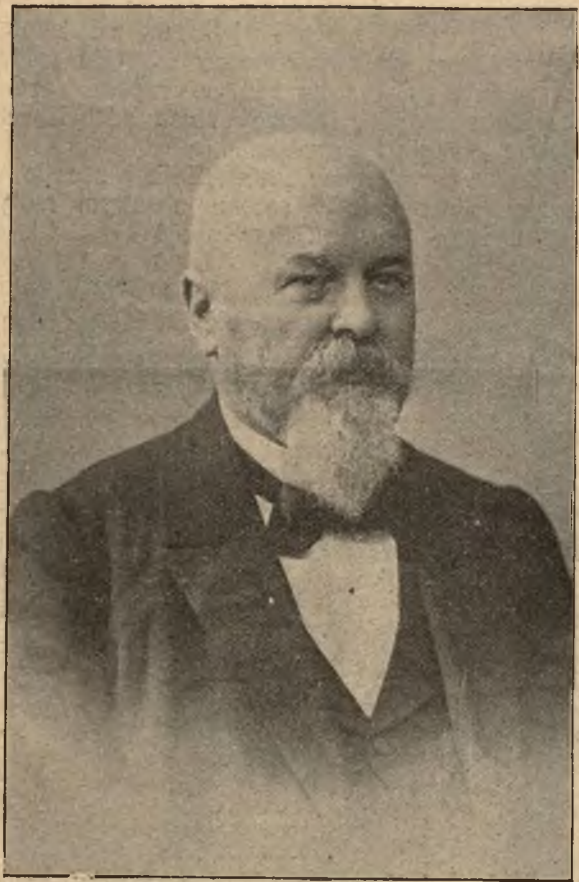


Aparatem red. W. Lis.

Święto patrona straży ogniowych: Pochód ochotniczej straży krakowskiej ze sztandarem z kościoła pod gmach towarzystwa ubezpieczeń.

Poraz drugi ministrem.

Wskutek nagłej śmierci niemieckiego ministra-rodaka Peschki, powołany został na opróżnione stanowisko Henryk Prade, który poprzednio przez niedługi czas sprawował ten trudny urząd.



Poraz drugi ministrem: Henryk Prade.

Jeszcze przed kilkunastu dniami, ani ponownie mianowany minister ani nikt w parlamencie nie liczył się z ewentualnością powołania go do ministeryum. Wprawdzie o zamierzonem ustąpieniu ministra Peschki mówiono powszechnie, wprawdzie faktu tego oczekiwano, przecież jako kandydatów na następcę jego wymieniano inne osobistości. Nagła jednak śmierć ministra-rodaka zmieniła sytuacyę i cesarz powołał Pradego ponownie na stanowisko ministra bez teki.

Minister Prade jest członkiem niemieckiej partyi ludowej, gdy jego zmarły poprzednik był agraryuszem. Z tego powodu nominacya Pradego ma głębsze znaczenie polityczne, a przyczyną jest tu okoliczność, że stronnictwo agraryuszów nie szło na rękę swemu podstawicielowi w gabinecie i w całym szeregu spraw robiło rządowi trudności. Jasną więc było rzeczą, że nowy minister nie mógł wyjść z tego stronnictwa.

Hołd książąt Rzeszy.

Uroczystości jubileuszowe z powodu sześćdziesięciolecia rządów cesarza Austro-Węgier Franciciszka Józefa I., rozpoczęły się już w Wiedniu. Rozpoczęły się od hołdu, jaki sędziwemu monarsze złożyli wszyscy członkowie Rzeszy niemieckiej, z królem pruskim i cesarzem Wilhelmem II. na czele. W tym celu przybyli do Wiednia w ubiegłym tygodniu w czwartek: królowie wirtemberski i saski, książę regent bawarski Luitpold, wielcy książęta Fryderyk Wilhelm badeński, Ernest Ludwik Heski, Fryderyk August oldenburski i Fryderyk meklembursko-szweryński, książeta Fryderyk anhaltski, Leopold Lippe-Biesterfeld, Jerzy Schaumburg-Lippe oraz burmistrz Hamburga i prezydent związku miast hanzeatyckich dr. Burchard.

Wiedeń przystrojony był w tej stronie, którędy posuwały się powozy, zielenią i dywanami oraz chorągwiami, a za szpalerami wojska gromadziły się tłumy publiczności, żądnej zobaczenia niezwykłej sensacyi. Widowisko popsuła tylko fatalna pogoda, a deszcz, który prawie przez cały dzień uroczysty padał, oraz wicher, spędzały z ulic nawet bardzo wytrwałych gapiów.

Właściwa ceremonia odbyła się wewnątrz pałacu schönbruńskiego. We wspaniałej sali Maryi Antoniny na I. piętrze zebrali się wszyscy książęta Rzeszy. Przybył też tam cesarz Franciszek



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Hołd książąt Rzeszy: Cesarz Franciszek Józef I. (1) i cesarz Wilhelm II. (2) witają arcyksiężne i księżniczki na dworcu wiedeńskim.

Hołd książąt Rzeszy.



Luitpold, ks. regent bawarski.



Fryderyk August, król saski.



Wilhelm II. cesarz niemiecki.



Wilhelm II. król wirtemberski.



Dr. Burchard, burmistrz Hamburga.



Leopold IV, ks. Lippe-Biesterfeld



Fryderyk August, w. ks. Oldenburski.



Fryderyk Wilhelm, w. ks. badeński.



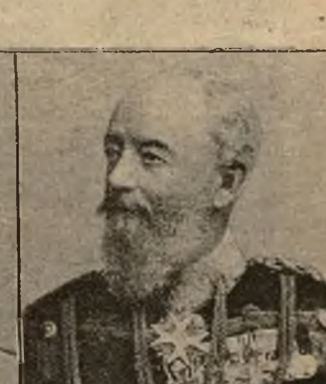
Wilhelm Ernest w. ks. sasko-weimarski.



Fryderyk, w. ks. meklembursko-szweryński.



Fryderyk, w. ks. anhaltski.



Jerzy, ks. Schaumburg-Lippe

Józef. Imieniem zebranych gości zabrał głos najlepszy wśród nich orator Wilhelm II., wyrażając radość z powodu jubileuszu rządów cesarza Austro-Węgier i zapewniając o uczuciach przyjaźni i przywiązania, z jakiemi odnoszą się do sędziwego monarchy nietylko ludy monarchii, ale cała ludzkość.

Wieczorem odbył się galowy obiad, w czasie którego wzniósł cesarz Franciszek Józef toast na cześć gości, a cesarz Wilhelm II. na cześć cesarza Austryi. Po obiedzie odbyła się serenada dolno-austryackich związków śpiewackich i zjednoczonych muzyk wojskowych pułków, stojących załogą w Wiedniu. W serenadzie wzięło udział 250 stowarzyszeń śpiewackich, liczących około 7.000 osób. Przed glorietą, oraz w pobliżu pałacu zebrała się liczna publiczność. Monarchowie podczas tej serenady stali w oknach, po serenadzie śpiewacy defilowali, niosąc 250 sztandarów przed oknami pałacu, wśród dźwięków hymnu austryackiego i pieśni: „Heil dir im Siegeskranz".

Następnie poczeli się panujący Rzeszy rozjeżdżać, żegnani na dworcu przez cesarza i arcyksiążąt.



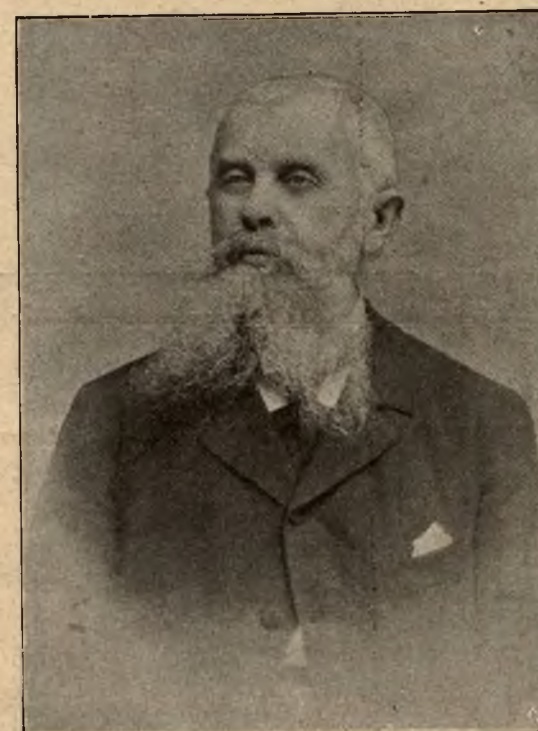
Fot. Seebald, Wiedeń.

Hołd książąt Rzeszy: Niemieccy książęta związkowi i dwór na dworcu kolejowym przed przybyciem cesarza Franciszka Józefa i Wilhelma II.

Nagła śmierć uczonego polskiego.

Wydawać się może paradoksem, a jednak jest prawdą, iż społeczeństwo nasze dopiero po śmierci mężów nauki przekonywa się o ich wartości, o światowej sławie, jaką cieszyli się zmarli po za granicami własnej ojczyzny.

Stwierdzić to zdanie można obecnie z powodu śmierci dr. Władysława Ochenkowskiego, profesora ekonomii politycznej na uniwersytecie lwowskim. Zmarły profesor należał do tych cichych miłośników wiedzy, którzy nie szukając rozgłosu, dążą wytrwale do wzbogacenia nauki swojemi badaniami a przedewszystkiem do podniesienia nauki polskiej. I to swe zadanie spełnił zmarły profesor, choć śmierć przedwczesna nie dozwoliła mu dopełnić go w tym zakresie, jaki sobie naznaczył.



Nagła śmierć uczonego polskiego: Ś. p. prof. dr. Władysław Ochenkowski.

Ś. p. dr. Władysław Ochenkowski urodził się w 1840 roku w Królestwie Polskiem, w dawniejszej gubernii podlaskiej. Po skończeniu studyów gimnazyalnych w Warszawie, wyjechał na uniwersytet w Jenie, gdzie habilitował się następnie na docenta nauk politycznych. We dwa lata potem został tamże nadzwyczajnym profesorem i w tym charakterze przeniósł się do akademii w Monasterze (Münster). Mianowany 1892 r. zwyczajnym profesorem ekonomii politycznej na uniwersytecie



Hołd książąt Rzeszy: Cesarz Wilhelm II. składa cesarzowi Franciszkowi Józefowi imieniem zgromadzonych książąt Rzeszy życzenia z powodu jubileuszu 60-lecia rządów.

we Lwowie powrócił do kraju. Tutaj zajął jako profesor jedno z naczelnych miejsc i skupiał około siebie znaczny zastęp młodzieży, żądnej poznania nauki społeczno-gospodarczej. W uznaniu za prace, jakie ogłosił drukiem, tak w języku polskim jak i niemieckim, Akademia Krakowska, jak



Pruska sprawiedliwość: Dr. Karol Liebknecht.

również „American Academy of political and social Science“ i londyńska „British Economic Associacion“, powołały go na swego członka.

Profesor Ochenkowski zmarł nagle przy stole, rażony atakiem apoplektycznym.

Demonstracye studenckie w Wiedniu.

Wiedeńska akademia weterynaryi, pozostająca pod zarządem wojskowym ministerstwa wojny, była przed kilku dniami widownią burzliwych zajść, dla których uśmierzenia przywołano prócz policyi aż dwie kompanie piechoty.

Powód do zaburzeń dało stanowisko rządu wobec żądań słuchaczów, domagających się oddania akademii pod zwierzchnictwo ministerstwa oświaty, dalej wolnego wyboru rektora, oraz innych praw akademickich, których dotychczas pozbawieni byli studenci weterynaryi. W celu wywalczenia tych swobód akademickich uczniowie akademii przerwali wykłady i zgromadziwszy się w wielkiej liczbie pod gmachem, zażądali zjawienia się rektora i po przybyciu jego przedstawili swe żądania. Rektor przyjął memoryał, nie dał jednak żadnej odpowiedzi, co wzburzyło studentów do tego stopnia, iż zaczęli hałasować.

Wówczas przyzwane wojsko obsadziło akademię, policya zamknęła wszystkie wejścia do gmachu, tak iż studenci pragnąc odbyć wiec w jednej z sal wykładowych, musieli stoczyć formalną walkę na pięści z policyantami. Po tej bójce studenci udali się przed parlament i wtargnęli do przedsionka, gdzie odśpiewali znaną pieśń studencką „Gaudeamus“. I z gmachu parlamentu jednak policya ich wyparła. Wysłano tedy deputacyę do posłów, reszta zaś studentów udała się pod uniwersytet i politechnikę, by wezwać na pomoc swych kolegów z innych wyższych zakładów naukowych, poczem wszyscy rozeszli się.

Na skutek tych demonstracyi studenci otrzymali zapowiedź spełnienia ich żądań, na razie zaś wycofano z akademii straż wojskową.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.
Hołd książąt Rzeszy. Cesarz Franciszek Józef (X) wita oczekujących go książąt Rzeszy. 1. Cesarz Wilhelm II, 2. Arcyksiążę Karol Stefan z Żywca.

Pruska sprawiedliwość.

Sądy pruskie już nieraz dały dowody, iż wyroki swoje ferują nie w imię sprawiedliwości, lecz według żądań, jakie stawiają im niemieckie sfery rządzące. Za przykład służyć tu może proces, wytoczony zeszłego roku dr. Liebknechtowi. Z powodu napisania zupełnie objektywnej bez żadnych wskazań praktycznych broszurki o antymilitaryzmie, dr. Karol Liebknecht, oskarżony o zdradę stanu, został skazany przez sąd Rzeszy niemieckiej na półtora roku twierdzy i obecnie odsiaduje karę w fortecy Glatz. Pragnąc jednak skazanemu odebrać i cześć, jakiej nie mogła mu naruszyć sprawiedliwość pruska, a zarazem odebrać na przyszłość możność wykonywania zawodu, Liebknecht bowiem jest adwokatem, prokuratorya państwa zażądała od Izby adwokackiej w Berlinie, ażeby wdrożyła przeciw niemu śledztwo dyscyplinarne. Izba adwokacka oparła się tym uroszczeniom prokuratorskim i odmówiła, wtedy jednak prokuratorya wniosła zażalenie do sądu i ten nakazał Izbie przeprowadzenie śledztwa i wydanie orzeczenia, czy adwokat dr. Karol Liebknecht naruszył godność stanu. Izba adwokacka musiała poddać się temu żądaniu i przeprowadziła śledztwo dyscyplinarne, ale sąd honorowy wydał wyrok uwalniający.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.
Demonstracye studenckie w Wiedniu: Studenci weterynaryi w czasie walki z policyą.



Choroba ruskiego literata: Dr. Iwan Franko.

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

8 Ciąg dalszy.

XI.

Snovard nie mylił się w rachubie; zaręczyny z baronówną dodały mu jeszcze powagi, uroku, znaczenia. Cały Berlin o tem mówił od pałaców począwszy, a skończywszy na warsztatach rękodzielników. Skoro baron Ellerich, potomek najstarszej prawie rodziny magnackiej, oddaje córkę bankierowi, to musi to być niezwykły człowiek, nadzwyczajny bankier. Takiemu można ufać, można powierzać pieniądze, można oddawać na ślepo krwawo zapracowane oszczędności.

Tak myślano powszechnie, tak mówiono, tak się namawiano wzajemnie.

I płynęły pieniądze strumieniami i strumykami do tego oceanu bankowego Amerykanina, tak szczęśliwego i tak uszczęśliwiającego państwo „bojaźni Bożej“.

Akcye argentyńskie zdrożały na giełdzie, boć je przecież finansowała firma Snovarda. Spotężniała teraz wieść dziennikarska, że wszechwładny król milionów zakłada nowe towarzystwo akcyjne, celem urządzenia żeglugi rzecznej w całem państwie. Snovard nibyto nie przyznawał się do tego, niby zbywał pytających półsłówkami, nawet poczęści zaprzeczał, ale dzienniki uporczywie trwały przy swych doniesieniach i to jeszcze bardziej przekonywało tłum zaślepiony. Mniemano, że będzie to operacya na olbrzymie rozmiary, dająca olbrzymie zyski, właśnie dlatego, że Snovard milczy i w tajemnicy rzecz układa. Struchlało istniejące towarzystwo żeglugi parowej, struchleli posiadacze akcyj tego towarzystwa, więc zaczęli je pospiesznie sprzedawać na giełdach. Akcye spadały w cenie z każdym dniem, z każdą godziną — aż wreszcie oddawano je za bezcen. Agenci Snovarda, nie znani nikomu, skupywali je teraz na giełdach niemieckich i na całym targu pieniężnym w Europie, skupowali spokojnie, od niechcenia, aby nie zdradzić się.

W krótkim czasie został Snovard właścicielem prawie wszystkich akcyj starego towarzystwa parowej żeglugi, a wtedy zaprzeczył wyraźnie, jakoby miał zamiar nowe towarzystwa zakładać. Prawo karne niema niestety paragrafu, któryby taki rozbój piętnował; jestto w opinii świata szczęśliwą, czy zręczną operacyą finansową, chociaż jest poprostu oszustwem i rozbojem. Tysiąc krzywd ludzkich, strumienie łez, nie jedno życie, samobójczo przerwane, oto cena, za którą Snovard nowe zgarnął miliony. W stolicy państwa, z rozboju i oszustwa wyrosłego, w stolicy państwa, którego prawa są bezprawiem i gwałtem, śród społeczeństwa bijącego czołem przed siłą pięści, Snovard budził tylko podziw, tylko uwielbienie.

Zabrał się też do urządzenia domu. Wyrachowanie mu powiedziało, że im więcej na to wyda, tem więcej zyska; nawet i w tem kierował się rachubą, spekulacyą, żądzą zysku. Wypowiedział mieszkanie wszystkim lokatorom, rzucał hojnie pieniędzmi, aby się bezzwłocznie wyprowadzili. W kilku dniach cały ten olbrzymi gmach opustoszał. Legiony murarzy zabrały się do roboty. Wykonywano ją po amerykańsku, z szalonym pośpiechem. W kilku tygodniach powstał z dawnej „Excelsior-restaurant“ wspaniały pałac. Na parterze urządzono kantory bankowe, a mianowicie biura dla urzędników i korespondentów, a pierwsze piętro przeistoczono na królewską rezydencyę. Na wyższych piętrach pokoje rezerwowe, gościnne, dla służby. W dziedzińcu powstał ogród zimowy; w dokupionej, przyległej realności urządzono stajnię i wozownię. A wszędzie przepych, zbytek, bogactwo olśniewające.

Cały Berlin zdumiewał się, podziwiał, gapiły się tłumy, zbiegały się liczne rzesze z całego miasta, aby oglądać te cuda. Snovard był przedmiotem rozmów, stał się niemal słońcem, przy którego blasku znikał nawet zamek pod „Lipami“. Wygolona, zasuszona, zimna i bezczelna twarz Amerykanina, widniała na kartach korespondencyjnych, i popularniejszą była nawet od sierdzistej, wyzywającej twarzy Wilhelma II.

Dopiero z końcem lutego powrócił baron Ellerich z córką do Berlina. W Wiedniu, zatrzymawszy się dla odpoczynku, wyczytał baron w dziennikach, że dr. Fryderyk Schwerdtner ogłosił znakomite dzieło naukowe i na tej podstawie powołany został na katedrę uniwersytecką w Austryi. Witając się teraz z nauczycielem swego syna, serdecznie go uścisnął.

— Szczęść Boże, kochany panie — rzekł do Schwerdtnera — dumny jestem z tego, że taki człowiek był nauczycielem mego dziecka.

Schwerdtner zdziwił się tym wylewem serdeczności, tak niezwykłej u barona. Czy to była szczerość, czy tylko próżność?

Doktor miał dopiero z początkiem letniego półrocza objąć katedrę, ale chciał już teraz opuścić dom barona i stolicę, aby gdzieś w zakątku, w ciszy i spokoju przysposabiać się do pierwszych wykładów. Miał zamiar udać się do Berghausen. Baron nastawał na to, aby jeszcze kilka tygodni Schwerdtner pozostał, dopóki nie znajdzie się dla Augusta umieszczenie w jakim znakomitym zakładzie naukowym. Teraz zająć się tem nie można, bo za dwa tygodnie będzie ślub Elwiry ze Snovardem. W domu tyle zajęcia, August przed ślubem opuścić domu nie może.

Nie na rękę to było doktorowi. Uroczystości weselne nie nęciły go wcale, nawet wprost odstraszały; każdy dzień pobytu w tym domu, był dlań przykrością. Radby czemprędzej usunąć się od tego świata obłudy, dziwactw, próżności; radby zapomnieć o Elwirze, o wrażeniach, o miłości, która się w nim odezwała tak głośno, tak wyraźnie w onej chwili, gdy mu August o zaręczynach siostry powiedział.

A jednak zostać potrzeba, przez wzgląd na przyzwoitość towarzyską, a jeszcze bardziej przez wzgląd na Augusta, który szczerze pokochał swojego nauczyciela i teraz go zaklinał, aby pozostał. Schwerdtner zgodził się na to; miała to być dla niego nowa próba ogniowa charakteru i woli. Zdawał sobie z tego sprawę, że sposobiąc się do życia, aby je przejść dzielnie, po męsku, należy niekiedy wystawiać się na próbę, narażać się na cierpienia, aby się nauczyć walczyć ze samym sobą i samego siebie pokonywać. Uroczystości weselne będą dla niego próbą i cierpieniem.

Elwiry przez całe dwa tygodnie nie widział. Zajęta była przygotowaniem wyprawy i wydawaniem rozlicznych dyspozycyj. Snovard prosił jej, ażeby obejrzała zakupione konie i powozy, to znowu, ażeby wybierała meble, innego dnia zajęta była doborem precyozów. Tak upływały dzień za dniem, godzina za godziną, a jednak Elwira uczuwała jakąś pustkę koło siebie, czegoś jej nie dostawało, czegoś pragnęła. Rozstrój ją ogarniał, chaotyczne myśli gnębiły, niezadowolona była z siebie i ze wszystkiego, co ją otaczało. Nawyknienie do zadawania sobie przymusu ze względów towarzyskich, ułatwiało jej panowanie nad sobą i zachowanie zewnętrznego spokoju.

Nadszedł dzień wesela. Z największym przepychem przyozdobiono pałac barona, przygotowano wszystko na przyjęcie gości jak najwspanialej, tak, że widać było z najdrobniejszego szczegółu, że duma rodowa starego szlachcica łączy się z milionami bogacza. Wszystko, co tworzyło najprzedniejsze towarzystwo stolicy, zgromadziło się teraz na salonach barona; miał być orszak weselny nie widziany chyba w Berlinie. Wśród licznych gości był też dr. Rümmel i według zwyczaju po cichu szydził i dowcipkował.

— Ta ozłocona wspaniałość przypomina mi starożytne ofiary pogańskie, na cześć bogów składane, a wtem tylko różnica, że dziś ofiara dobrowolnie rzuca się w paszczę Molocha — szeptał Rümmel do jednego ze znajomych.

W salonach brakowało tylko Schwerdtnera. Już orszak weselny pozajmował powozy i ruszono do kościoła, gdy August, nie widząc Schwerdtnera, wyskoczył z powozu i pobiegł do jego pokoju.

— Panie doktorze, już wszyscy wyjechali, dlaczego pan nie pokazał się w salonach? — woła August.

Schwerdtner kończył się ubierać, a umyślnie się spóźnił tak bardzo, ażeby nie być świadkiem tego ślubu, który dla niego był ciosem bardzo bolesnym

August naglił i zaklinał się, że do kościoła nie pojedzie bez swego ukochanego nauczyciela.

— Ja panu prawdę powiem — mówił August – że mi się ta cała historya niepodoba. Gdzie też Elwira podziała oczy? Ja nie mogę znieść tego człowieka, co na nieszczęście ma zostać moim szwagrem.

— Tak nie trzeba mówić Auguście, bo tem obrażasz nietylko siostrę, ale i ojca.

Mówiąc to czuł Schwerdtner, że spełniając obowiązek nauczycielski, kłóci się z własnem przekonaniem. Zebrał się prędko i pojechali z Augustem do kościoła. Weszli przez zakrystyę, bo przez zapchany kościół dostać się do ołtarza było niemożebne i stanęli w progu kościoła. Młoda para klęczała przed ołtarzem. Pastor miał sztucznie ułożoną mowę, w której zręcznie omijał wszystko, coby o miłość potrącało, boć byłoby to wprost urągowiskiem, gdyby o związku serc chciał przemawiać. Skończyła się mowa, nastąpić ma złożenie przysięgi. Elwira rzuciła okiem w bok ołtarza i spostrzegła na progu zakrystyi Schwerdtnera. Nagle zatrzęsła się, zbladła, przygryzła wargi, ciche westchnienie wyrwało się z piersi i oczy smutnie w dół spuściła.

Schwerdtner to widział i uczuł litość jakąś nad nieszczęśliwą ofiarą, ale z tą litością skojarzył się żal i wyrzut, że rozwiała w nim marzenia o czarownej księżniczce z bajki, że zburzyła w nim pojęcia, jakie miał o świecie salonów. Ponadto głośniej przemawiała w jego sercu zawiedziona miłość. Blady stał, marmurowy, panujący nad sobą i słuchał przysięgi.

— Czy masz szczerą i nieprzymuszoną wolę pojąć za małżonkę — zapytał pastor Snovarda, a ten głosem dobitnym, stanowczym i donośnym odpowiedział: „tak“.

Natomiast Elwira zaledwie szeptem rzekła to stanowcze słowo i wyglądała, jakby ją siły opuszczały, jak ubezwładniona, jakby lada chwila omdleć miała.

Skończony obrzęd zaślubin. Baron uścisnął córkę, wyglądał strasznie, jakby go furye targały, jakby mu wyrzuty sumienia aż do twarzy się wgryzły. August zbliżył się do siostry, a ona przycisnęła go do piersi i z łkaniem szepnęła:

— Bądź szczęśliwy braciszku i pamiętaj o siostrze.

Nic więcej powiedzieć nie mogła, łkanie ją dławiło. Schwerdtner stał zapatrzony gdzieś w dal i nic nie widział w koło siebie, dopiero August ocucił go z zamyślenia.

— Chodźmy panie doktorze, już wszyscy wyjeżdżają.

X.

Biesiada weselna trwała długo. Schwerdtner siedział przy stole, jak na torturach. Męczyły go banalne, zdawkowe toasty, nudziły tuzinkowe rozmowy sąsiadów, ale najdotkliwiej było mu patrzeć na Elwirę. Siedziała przy mężu z wyrazem twarzy pełnym przygnębienia, znękania. Wyglądała złamana na duchu, nieśmiała, upokorzona. Przypadkiem spotkały się spojrzenia Elwiry i Schwerdtnera. W oczach Elwiry mógł był Schwerdtner wyczytać prośbę, aby jej wybaczył, aby jej nie złorzeczył, aby nią nie pogardzał. Czy naprawdę była taka prośba w jej oczach, czy mu się tylko zdawało?

Wreszcie wstano od stołu. Doktorowi spadł kamień z serca. W tłum mężczyzn, spieszących na cygara do fimoarów, wmięszał się, aby zapomnieć o wstrętnej mu postaci Snovarda, a błagających o litość oczach Elwiry. Dziwnie był rozstrojony. Dziś rano jeszcze cieszył się, że niebawem opuści dom barona, nie miły dlań, nawet przykry; dziś rano jeszcze promieniała mu przed oczyma przyszłość na katedrze profesorskiej, uśmiechała się do niego, jasna, ponętna. A teraz nie raźno mu opuścić ten dom, przyszłość nie nęci go, nie pociąga.

Coś się tam w duszy jego kłóci, mąci, a tylko błagające oczy Elwiry wyraźnie mówią, że nie jest szczęśliwą, że potrzebuje jego współczucia, czy pomocy.

Sam z siebie nie kontent, z rozdartą, poszarpaną myślą, zapragnął ciszy i spokoju, więc poszedł do swego pokoju, by w samotności skupić się, odzyskać jasność umysłu. Widok książek, skryptów, działać zaczął kojąco i doktor był w godzinę spokojny, wróciła mu trzeźwa rozwaga.

Uderzyła godzina dwunasta. To mu przypomniało, że jeszcze spełnia tu obowiązki, że powinien troszczyć się o swego ucznia Augusta. Powinien go zabrać do spoczynku, boć chłopczyna niema ani towarzystwa dla siebie śród biesiadnych gości, ani też nie potrzebuje spełniać obowiązków gospodarskich, a następnego dnia ma do egzaminu zasiadać. Trzeba chłopcu pokrzepiającego snu; już i tak godzina spóźniona. Więc wyszedł Shwerdtner i zdążał do salonów. Zdala dolatywały go dźwięki kotyliona i głos Rümmla, który tańcami kierował. Już stanął na szczycie schodów, wiodących do westybulu, gdy spostrzegł jakiegoś barczystego mężczyznę, jak do płomienia gazowego podniósł rękę z cygarem, by je zapalić. Mężczyzna był plecyma do niego zwrócony, więc poznać go

nie mógł, ale doznał wrażenia nader silnego. Taką sylwetkę już kiedyś widział. Te same szerokie plecy, ten sam rysunek głowy, takie samo podniesienie ręki — widział owej nieszczęsnej nocy, gdy jechał z zamordowanym Döblem i jego mordercą. Postać otulonego towarzysza podróży, gdy sięgał ręką, aby zasłonić lampę, była taka sama, a może i ta sama.

Zapaliwszy cygaro odwrócił się, a Schwerdtner poznał Snovarda. W tej chwili wyszedł jeden z gości ze salonu i ze Snovardem rozmawiać zaczął. Bankier nie wyjmując z ust cygara, odpowiadał urywanemi słowami, a ten stłumiony głos, cokolwiek syczący, działał na Schwerdtnera piorunująco. To ten sam głos, którym przemawiał zakapturzony morderca Döbla, to ten sam głos, który Schwerdter usłyszał już raz w domu barona. Tak jaskrawo teraz przypomniała mu się owa straszna noc w pociągu, że nie wątpił ani na chwilę, iż mordercą Döbla jest Snovard.

Co teraz czynić? Wyjawić swoje przekonanie, ale gdzie, jak i przed kim? Czy pospieszyć zaraz do dyrekcyi policyi i tam poczynić zeznania? Nie, toby miało znamię podstępnej denuncyacyi. Wobec gości weselnych wystąpić jawnie i napiętnować zbrodniarza, to byłby skandal straszny dla rodziny barona. A może zamilczeć? Byłaby to kara zasłużona dla tych ludzi, co uderzyli czołem przed złotym cielcem, co sprzedali się milionerowi, nie badając przeszłości jego życia. Ale w tej chwili przypomniał sobie Schwerdtner błagające oczy Elwiry i odtrącił od siebie tę myśl, aby odkrycie pominąć milczeniem. Tak, musi zedrzeć maskę z obłudnego mordercy, musi ocalić Elwirę. Ale jak? Czy mu uwierzą? Czy go nie poczytają za szaleńca?

W miarę jak utrwalało się w nim przekonanie, że się nie myli, że Snovard jest owym zakapturzonym towarzyszem podróży, rosło w nim i rozdrażnienie i chciałby w jednej chwili sprawę załatwić, czemprędzej pozbyć się tego ciężkiego zadania, tego strasznego obowiązku. I znowu nasuwa mu się natrętnie to pytanie, jak to uczynić i rozstraja go — to podnieca, aż wreszcie opanowany uniesieniem gniewu nie myśli już o niczem, tylko wpada do salonu i szuka Snovarda. Doznaje wrażenia, że ma teraz rzucić się w odmęt fali morskiej z niebotycznej skały, że ma iść w jakiś bój śmiertelny, że iść musi i zwyciężyć, lub zginąć.

Snovarda nie dopatrzył w żadnym salonie. Tymczasem Elwira, znużona do upadłego, znękana wrażeniami, wysunęła się niespostrzeżenie z towarzystwa i spoczęła w jednym z dalszych pokoi. Przy niej siedział August smutny, zapłakany.

— Żal mi cię bardzo — mówił chłopczyna. Nie gniewaj się, że ja tego Snovarda nie cierpię. Ja tam nigdy nie przyjdę, u siebie nigdy mnie nie zobaczysz.

— Nie mów tak braciszku, bo ja jestem bardzo... bardzo nieszczęśliwa.

To rzekłszy, zalała się łzami i bolesne łkanie dobyło się z jej piersi. W tej chwili stanął na progu Snovard.

— Płaczesz moja droga? — zapytał sucho — z odcieniem szyderstwa.

Elwira zerwała się z miejsca. Suchy, szyderczy ton mowy i poufałe „ty", które poraz pierwszy z ust Snovarda usłyszała, uraziły ją i przeraziły. On to spostrzegł, wyjął cygaro z ust i włożył je do popielniczki, potem przystąpił do żony poufale. Elwira przytuliła do siebie głowę Augusta, jakby w nim szukać chciała obrony.

— Już dosyć późno — cedził Snovard z naciskiem — i sądzę, że czas nam udać się do domu.

— Pozwól pan jeszcze, zostaw mnie pan z braciszkiem, tak trudno rozstać się...

— Chciałbym wiedzieć, co znaczy, że przemawiasz do mnie niewłaściwie. Dopóki byłem narzeczonym, mówiliśmy sobie pan i pani, dziś atoli, gdy jestem twoim mężem, życzę sobie, ażebyś do mnie przemawiała, jak się do męża przemawiać zwykło. Bądź łaskawa odesłać chłopca, bo chcę swobodnie pomówić.

— Idź już braciszku — szepnęła Elwira i uścisnęła raz jeszcze Augusta, a chłopczyna rzucił nienawistnem okiem na Snovarda i wyszedł, rozpłomieniony gniewem.

— Twoje postępowanie, kochana Elwiro, muszę nazwać bardzo niewłaściwem. Wobec całego towarzystwa okazujesz jakieś niezadowolenie, czy smutek, niczem nieuzasadniony. Co świat o tem pomyśli, co świat o tem powie? Czy zechcesz mi to wytłomaczyć?

Elwira milczała. Znać było, że zbiera siły, aby się opanować i zachować spokój, ale na odpowiedź zdobyć się nie mogła.

— Jeżeli sobie nie życzysz w tej chwili mi odpowiedzieć, możemy rozmowę odroczyć, a tymczasem zażądam pierwszego małżeńskiego pocałunku.

— Nie, nie, nie. Ja nie chcę. Ja się nie zastanowiłam, postąpiłam jak szalona... Wróć mi pan swobodę.

Snovard podniósł brwi do góry i spojrzał z takiem zdumieniem, jakiego jeszcze zapewne nigdy



Weszli przez zakrystyę i stanęli na progu kościoła.

w życiu nie doznał. Wpatrywał się w Elwirę wzrokiem przeszywającym, szyderskim, a potem roześmiał się głośno:

— A, to zabawne. Przekonywam się, że kobiety właściwie nigdy zrozumieć nie można. Ale to dla mnie w tej chwili obojętne, bo choćbym ja ciebie nie rozumiał, ty mnie zrozumieć jednak musisz...

— Czy to groźba? — zapytała podnieconym głosem Elwira.

— Nie! to postanowienie, a u mnie nie było jeszcze wypadku, abym nie dokonał tego, co postanowiłem. Oświadczam ci moja żono, że natychmiast jedziemy do naszego mieszkania.

Elwira cofnęła się wstecz, oparła rękoma o ścianę, jakby w niej szukała obrony i zawołała przerażona:

— Ja się boję, ja nie chcę...

— Ha, ha... — zaśmiał się szyderczo Snovard, twarz mu pozieleniała, oczy zaświeciły jaszczurczym blaskiem, przyskoczył do Elwiry i pochwycił ją za rękę.

— Proszę mnie puścić — szepnęła Elwira.

— Chodź natychmiast! — ryknął Snovard, zgrzytając zębami i pociągnął Elwirę na próg pokoju.

W tej chwili zjawił się we drzwiach Schwerdtner i rzekł głosem stanowczym:

— Ta pani z panem nie pójdzie, mości Snovard.

Amerykanin spojrzał na doktora z nietajoną wściekłością i w pierwszej chwili nie zdołał przemówić ani słowa. Elwira wyrwała się z jego rąk, uciekła w głąb pokoju drżąca, patrzyła na Schwerdtnera, który z rozpromienionem okiem, w postawie wyzywającej, stał w progu naprzeciw Snovarda.

— Zuchwalcze! — krzyknął wreszcie Snovard, nie mogąc się opanować. Precz stąd!

— Milcz pan, mości Ralf Snovard — odpowiedział Schwerdtner głosem donośnym.

August, który zatrzymał się w przyległym pokoju, usłyszawszy tę sprzeczkę, pobiegł do ojca przerażony i wpadłszy do salonu, rzekł:

— Coś się złego dzieje. Pan Snovard z panem doktorem bardzo się kłócą, Elwira przerażona.

Chłopczyna mówił dość głośno, więc słyszało to wiele osób i wszyscy pospieszyli za baronem, prowadzeni przez Augusta. Właśnie przybyli do pokoju w chwili, gdy Snovard, uspokoiwszy się cokolwiek, odzyskawszy krew zimną, zapytał:

— Wytłomacz pan natychmiast powód swej bezczelnej napaści?

— Z przyjemnością to uczynię, chociaż to panu nie będzie przyjemne. Panie baronie i wy panowie, raczcie mi wybaczyć, że muszę zamącić wesołość dnia dzisiejszego. Obowiązek sumienia zniewala mnie głośno zawołać, abyście usunęli ze swego towarzystwa ściganego przez policyę zbrodniarza. Ten oto człowiek, Ralf Snovard, jest mordercą bankiera Döbla.

Schwerdtner skończył. Osłupienie ogarnęło wszystkich; zdawało się, że stoi grupa posągów, a nie gromada ludzi. Baron zachwiał się, oniemiał, spoglądał to na Snovarda, to na Schwerdtnera. Snovard stał zimny, marmurowy, z zaciśniętemi wargami, tylko z ócz tryskały mu piekielne połyski.

— Kochany ojcze — rzekł z wymuszonym spokojem, czy niema tu w pałacu kaftana dla waryatów?

Ten spokój zaimponował obecnym i nasunął im przypuszczenia, że może Schwerdtner się upił, lub popadł w jakąś gorączkę. Wszystkim wydało się teraz niedorzeczną, chorobliwą fantazyą oskarżenie, wypowiedziane przez doktora. Baron odzyskał przytomność i ujawszy Schwerdtnera za ramię, rzekł cokolwiek opryskliwie:

— Muszę się wstydzić za pana, mój doktorze; jakże można coś podobnego... taką niedorzeczność...

— O, panie baronie; jestem trzeźwy i zdrów zupełnie, a na dowód tego opowiem rzecz dokładnie i szczegółowo.

I opowiedział o wszystkiem, co się działo pamiętnej nocy w pociągu, o wrażeniu, którego doznał, usłyszawszy głos Snovarda dawniej w domu barona i o dzisiejszych spostrzeżeniach.

To wywarło przygnębiające na wszystkich wrażenie. Spoglądano na siebie pytająco, nikt nie miał odwagi odezwać się, nastało śmiertelne milczenie. Przerwał je krzyk Augusta:

— Na pomoc! Boże! Elwira!...

Elwira leżała w kącie omdlała. Teraz dopiero spostrzeżono, że była świadkiem całego zajścia. Pospieszono jej na pomoc, zaczęto cucić, wezwano lekarza.

— Proszę wyprowadzić tego szaleńca — krzyknął Snovard, a ja sam zajmę się moją żoną.

— Zabraniam ci morderco zbliżać się do córki barona — zawołał Schwerdtner.

— Ustąp bezczelny kłamco, bo mogę zapomnieć, że jesteś szaleńcem i...

Schwerdtner przyskoczył do Snovarda z podniesioną pięścią, a Snovard odsunął się zręcznie porwał ze stołu kandelabr i z całej siły uderzył nim w głowę Schwerdtnera. Uczynił to tak prędko, że dopiero wtedy spostrzeżono co się stało, gdy doktor runął na posadzkę, krwią zalany.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Konkurs hippiczny w Krakowie.

Galicyjski klub jazdy panów urządził w ubiegłą niedzielę na wielkim torze wyścigowym za rogatką Wolską konkurs hippiczny oraz bieg myśliwski. Dzięki pięknej pogodzie publiczność zebrała się licznie na obu tybunach i placu otaczającym tor bardzo licznie i z zajęciem śledziła przebieg interesujących zawodów sportowych.

Na program złożyły się podpisy w jeździe konnej oraz braniu przeszkód, popisy w skokach konnych przez przeszkody w spokojnym galopie myśliwskim, oraz „Jeu de Barre“. Nagrodę pierwszą za jazdę prawdziwie piękną i brawurową oraz lekkie branie przeszkód, otrzymał porucznik ułanów Karol Dlauhovesky, za popis w skokach konnych porucznik ułanów Herman Marnegg, w „Jeu de Barre“ zaś porucznik dragonów Hugo Mac Nevin O'Kelly.

Na zakończenie odbył się bieg myśliwski, w którym startowało 6 koni. Pierwszy stanął u mety „Flonau“ por. Clam-Martinitza.

Wypadku poważniejszego nie było, mimo iż kilku jeźdźców spadło przy braniu przeszkód z siodła.





Konkurs hippiczny w Krakowie: Komisya konkursowa. (Aparatem red. W. Lis.) Konkurs hippiczny w Krakowie: Fragment z »Jeu de Barre«.



Konkurs hippiczny w Krakowie: Trybuna boczna. (Aparatem red. W. Lis.)

Krajowy kurs pożarnictwa w Krakowie.

Wskutek uchwały zjazdu strażackiego urządza krajowy Związek ochotniczych straży pożarnych 15-dniowe kursy pożarnictwa, a ósmy taki z rzędu kurs odbywa się obecnie w Krakowie.

Kurs krakowski zorganizowano za inicyatywą i staraniem Feliksa Nowotnego, naczelnika miejskiej straży pożarnej w Krakowie, którego Rada kraj. Związku ochot. straży poż. we Lwowie zamianowała komendantem i kierownikiem. Jako krajowy instruktor pożarnictwa bierze udział Antoni Szczerbowski, sekretarz kraj. Związku strażackiego. Celem kursu jest wyrobienie instruktorów i naczelników ochotniczych straży pożarnych w miastach i miasteczkach. — Na kurs ten przybyło 28 uczestników z różnych stron kraju i z Królestwa polskiego. Oprócz bardzo szczegółowej nauki teoretycznej, przeprowadzonej przez pp. Nowotnego i Szczerbowskiego i ćwiczeń z przyrządami pożarnymi, odbywają uczestnicy kursu wszelkie rodzaje służby pompierskiej, jak: na ścisłem pogotowiu, w teatrze, przy telefonie i t. d. co razem wzięte ma dać całokształt wykształcenia strażackiego.

Miejscowa ochotnicza straż pożarna odstąpiła bezinteresownie swojej strażnicy pożarnej a magistrat miasta Krakowa pozwolił na umieszczenie uczestników kursu i na użycie przyrządów i urządzeń straży pożarnej.

Kurs zakończy się w sobotę dnia 16 maja egzaminem przed delegatem Wydziału krajowego i delegatami Związku strażackiego. Wielka obfitość bardzo praktycznych przyrządów pożarnych, oddanych do nauki, najnowsze środki alarmowe a wreszcie wprawa i wyćwiczenie miejskiej straży pożarnej, służące podczas prób i nauki za wzór dla uczniów kursu, oraz zawodowa rutyna kierownika i nauczycieli, dają rękojmię, że ten krakowski kurs odda pożarnictwu wielkie usługi.



Krajowy kurs pożarnictwa w Krakowie: Grupa uczestników kursu z kierownikiem i instruktorami. (Aparatem redakc. W. Lis.)

Choroba ruskiego literata.

(Do ill. na str. 10).

Jeden z najwybitniejszych współczesnych literatów ruskich, dr. Iwan Franko, zaniemógł ciężko i przebywa w jednym z zakładów kuracyjnych we

Lwowie. Choroba ta rozwinęła się na tle nerwowem i przybrała tak groźne rozmiary, iż okazała się potrzeba stałej i bardzo troskliwej opieki lekarskiej.

Dr. Iwan Franko, to indywidualność w społeczeństwie ruskiem bardzo wybitna. Nazwisko jego jest też powszechnie znanem. Pamiętne są jego rewelacye, jakiemi jako wstępem zaopatrzył zbiór swych nowel. Wyraża się tam ten utalentowany literat o narodzie ruskim bardzo ujemnie i wyraża żal, że urodził się Rusinem, członkiem społeczeństwa o bardzo niskiej kulturze. Jeszcze bardziej pamiętnym jest jego artykuł, zamieszczony w wiedeńskim dzienniku „Die Zeit“, a omawiający znaczenie Mickiewicza w literaturze. W artykule tym nazwał dr. Franko naszego genialnego wieszcza poetą zdrady, opierając się na tendencyi „Konrada Wallenroda“. Ze strony polskiej otrzymał też wówczas bardzo ostrą i stanowczą odprawę, zbijającą sofistyczne wywody ruskiego krytyka.

Oba te głośne fakty z życia dr. Franki charakteryzują bardzo dobitnie jego umysłowość i jego psychikę. Z jednej strony uczucie żalu i niezadowolenia z powodu swej przynależności do niekulturalnego narodu, z drugiej wysoka inteligencya i aspiracye górne, wywołały pewnego rodzaju walkę duchową i kto wie, czy nie tu trzeba szukać przyczyn obecnej choroby dr. Franki.

Kronika tygodniowa.

(»Jubel« w Wiedniu. — Zjazd książąt niemieckich. — Wspomnienia historyczne. — Demokratyczność wiedeńska. — 400 orderów. — Kanikularna interpelacya p. Budzynowskiego. — Z bruku krakowskiego. — Oszustwa przemysłowców niemieckich.)

W czwartek ubiegłego tygodnia mieli Wiedeńczycy ogromny „Jubel“, najwyższy stopień tego, co się u nich nazywa „a Hetz“. Z dawien dawna kochają się mieszkańcy „miasta Feaków“ — jak nazwał Wiedeń poeta Grillparzer — w tego rodzaju „jublach“, czy „hecach“. Pochód Buffalo Billa, wjazd Barnuma, przybycie do Wiednia książąt niemieckich — wszystko to jest równie pożądanym przedmiotem dla naiwnej ciekawości, można by nawet powiedzieć gapiostwa Wiedeńczyków. A każdy „jubel“, czy każda „heca“ zasługuje wtedy na uznanie jako coś najwyższego — „s'Höchste“ — jeżeli przy tej sposobności jest jaknajwięcej błyskotek, barw, huku i krzyku.

Poczciwi Feakowie nad „pięknym, modrym Dunajem“ mieli taką niebotyczną hecę, gdy na czele hufców polskich wjeżdżał do miasta Sobieski i uczynili wtedy głębokie spostrzeżenie, że król nasz ma... piękne wąsy. Oklaskiwali wtedy Polaków jako zbawców, ale w dwa przeszło wieki później oklaskiwali również wojaków francuskich, którzy od Padu aż po Dunaj bili wojska austryackie. Ale to nic, mimo to był „jubel“ na widok Francuzów, taki sam, jak później na widok Bismarcka, albo też Kowbasiuka, ruskiego posła do Rady państwa. Jakże niemiał być „jubel“ teraz, gdy przybyło do Wiednia aż 12 książąt Rzeszy niemieckiej pod wodzą cesarza Wilhelma II., ażeby złożyć cesarzowi Franciszkowi Józefowi życzenia z powodu jego sześćdziesięcioletnich rządów. Wszyscy w lśniących mundurach, wszyscy ze świtami, równie lśniącemi. Galowe powozy, stangreci, poważni jak ministrowie, obok nich strzelcy, dumni ze swoich siedzeń na koźle, szpaler wojskowy, flagi, maszty, girlandy, muzyki, słowem „a Hetz“.

Możeby cesarzowi Franciszkowi Józefowi było przyjemniej, gdyby na czele książąt stał regent bawarski, ale skoro Wilhelm II. jest cesarzem niemieckim, a hołd był jego pomysłem, więc on musiał przemawiać imieniem swoich ukoronowanych kolegów. Niektórzy koledzy zrezygnowali z tej zaszczytnej podróży i pozostali w domu, a są to ci właśnie książęta niemieccy, którzy najbardziej wysługiwali się Prusom i dlatego zostali najlepiej przez wdzięcznych Hohenzollernów oskubani. Pracowali „pour le roi de Prusse“. Przemawiał tedy do cesarza Franciszka Józefa cesarz Wilhelm II., potomek „wielkiego“ Fryderyka, który Austryi zabrał Śląsk, a wnuk Wilhelma I., który Austryę wyrzucił ze związku niemieckiego, co ludom słowiańskim z pod berła Habsburgów jest bardzo pożądanem, ale dla obecnego cesarza było wielce upokarzającem, równie jak klęska pod Sadową. W swej przemowie hołdowniczej zapewnił cesarz Wilhelm jubilata o „wierności i przyjaźni“ sprzymierzeńców niemieckich, zaś cesarz austryacki w swej odpowiedzi stwierdził, że przymierze austryacko-niemieckie dąży do celów pokojowych, a hołd jest „uroczystem zamanifestowaniem zasady monarchicznej.“ A słowa te wypowiedziane zostały w zamku Schönbrun w owym pokoju, który nosi nazwę Maryi Antoniny, arcyksiężniczki austryackiej, a późniejszej żony króla francuskiego Ludwika XVI. Jak wiadomo Marya Antonina dała głowę pod nóż gilotyny, podobnie jak jej małżonek królewski. Takie kontrasty powstają czasem dzięki przypadkowi, który zrządził, że cesarzowa niemiecka zamieszkała w „sali gobelinowej“, gdzie wyzionął ducha ks. Reichstadzki, syn Napoleona I. i żony jego, równie arcyksiężniczki austryackiej. W sali tej mogła żona Wilhelma rozmyślać o przebrzmiałej świetności Napoleonów i wzroście Hohenzollernów. A również przypadek zrządził, że gdy w Wiedniu monarchowie sławili trójprzymierze, w Czechach grzebano zwłoki dra Herolda, który tak energicznie występował zawsze przeciwko przyjaźni z Prusami.

Oczywiście ogromny „jubel“ sprawiła Wiedeńczykom ta okoliczność, że pomiędzy gratulantami pod wodzą cesarza Wilhelma II. znajdował się także burmistrz miasta Hamburga, dr. Burchard, jako przedstawiciel wolnych miast hanzeatyckich. Czy ten burmistrz w starym stroju cywilnym, z wielką kryzą dokoła szyi, uważany był za kolegę przez resztę gratulantów? Podczas obiadu cesarz austryacki w toaście swoim przemówił do „cesarskich i królewskich mości“, dalej do „mości“ tylko „królewskich“, do „najjaśniejszych książąt“, naostatek zaś do „przedstawiciela wolnych miast hanzeatyckich“. A więc przedstawiciel Hamburga, największego w Niemczech miasta handlowego, musi stać za „najjaśniejszym“ księciem Lippe, typowym niemieckim książątkiem tuzinkowem, jednym z tych, których ośmieszył genialny Heine. Ale burmistrz Hamburga brał udział w hołdzie pomiędzy panującymi książętami, brał także udział w uczcie galowej, a to było właśnie dla Wiedeńczyków powodem do „jublu“. Demokratyczny ich duch był zupełnie zadowolony. Zresztą demokratyczny dziennik „Neues Wiener Tagblatt“, dając sylwetki gratulantów, na ostatku umieścił osobę dra Burcharda, o którym powiada, że się odznacza „powagą i świadomością swej wartości“. Tak wygląda demokratyczność Wiedeńczyków. Ażeby zaś nie pominąć żadnego ważnego momentu z czwartkowej uroczystości hołdowniczej, wspomnieć należy jeszcze, że sam cesarz Wilhelm rozdał w Wiedniu 150 orderów, reszta książąt 250, razem więc 400. Aż serce rośnie!

Przerywam, ażeby się nie rozpłakać, a zarazem przechodzę do innego tematu. Opowiem bajkę. W pewnej kamienicy mieszkali sobie dwaj lokatorowie, z których jeden, znacznie zamożniejszy, łożył na utrzymanie kamienicy, bronił jej całości przed niesumiennymi sąsiadami, upiększał ją, nie czyniąc nigdy różnicy pomiędzy sobą, a swoim współlokatorem, któremu owszem ciągle wyświadczał bezinteresowne przysługi. Drugi lokator przyjmował chętnie wszystkie przysługi i dobrodziejstwa, aż pewnego razu poszedł do sąsiada, najbardziej wrogo dla obu usposobionego i żalił się przed nim, że musi robić niepotrzebne wydatki, idące na korzyść pierwszego lokatora. Sąsiad uśmiechnął się ironicznie, wiedząc, że drugi lokator poprostu kłamie, ale skorzystał ze sposobności, ażeby podsycić waśń i naturalnie wyraził sympatyę skrzywdzonemu rzekomo lokatorowi.

P. Budzynowski, znany hajdamaka i poseł ukraiński do parlamentu austryackiego, wniósł do prezydenta gabinetu interpelacyę, w której bredzi, jakoby „na Rusinach wymuszano składki na polskie cele narodowe“. Rusini, zwłaszcza „urzędnicy i służba ruska“, dawali, lub dają jeszcze, oczywiście pod przymusem, datki na odnowienie Wawelu, na pomnik Mickiewicza, na Towarzystwo szkoły ludowej, na kościół św. Elżbiety we Lwowie itd. Ruskim urzędnikom i ruskiej służbie polscy przełożeni — jak się wyraża p. Budzynowski — „kradną poprostu grosz“. Ależ panie Budzynowski, czy sądzisz pan, że prezydent gabinetu baron Beck jest tak naiwny i uwierzy panu? Ażeby dawać, trzeba coś mieć, a Rusini mają tak mało, że biorą od Polaków pełną garścią. A jakże, panie Budzynowski! Pan wiesz o tem bardzo dobrze, równie jak wie o tem Siczyński i podobni jemu i panu. Jeszcze niema kanikuły, a pan, panie Budzynowski, już prawisz o wężu morskim. A może dają pieniądze na „cele polskie“ owe deputacye ruskie, które przybywają do Wiednia, same nie wiedząc poco, a wracają często do kraju za pieniądze posłów polskich. Co do mojej osoby, to wyznaję otwarcie, że jestem dłużnikiem p. Budzynowskiego. Zawdzięczam mu chwilę serdecznego śmiechu, który tak jest rzadkim w obecnych czasach. Diakuju wam, hospodyne Budzynowskij. A może pan wolisz po niemiecku? Bo to Ukraińcy mają predylekcyę do niemczyzny.

Wracam na bruk krakowski. Nie wiem, jaka będzie pogoda w chwili, gdy czytelnicy będą mieć w rękach niniejszy numer „Nowości Ilustrowanych“, ale teraz, gdy piszę, moją kronikę „Jupiter pluvius“ wcale nie myśli o zamknięciu upustów niebieskich. Chłodne i dżdżyste powietrze, a wszakże już dobiega pierwsza połowa maja. Krawcy nasi, sądząc logicznie, że maj jest od tego, ażeby podczas jego 31 dni urządzać majówki, wystąpili pierwsi z tą myślą, ale zawiedli się na barometrze i odwołali swoją majówkę. Co najgorsza, to fakt, że odwołanie jest bez terminu. Czyżby panowie krawcy stracili nadzieję, że w bieżącym roku wogóle będzie pogoda kiedykolwiek?

Dalej zanotować muszę dla wiecznej pamięci, że gmina miasta Krakowa zaczęła burzyć bramę forteczną, która dotąd zamykała ulicę Wolską i przecinała wspaniałą perspektywę na Błonia. Oby to był tylko szczęśliwy początek, oby nareszcie jak najprędzej zniesione zostały wszystkie wały forteczne, opasujące pierścieniem nasze miasto, które się nie może skutkiem tego rozwinąć. Wały te pod względem strategicznym nie mają już dzisiaj żadnej wartości, są więc dla wojska zbyteczne i nieużyteczne, a utrzymanie ich pochłania znaczne sumy. Zniesienie tych wałów i posunięcie linii obronnej na dalszą odległość jest więc równie pożądanem dla wojska, jako też i dla miasta, a że sprawy wojskowe w takich razach mają rozstrzygające znaczenie, więc wały mogą już paść. Byłby to dla Krakowa piękny dar jubileuszowy.

Ale jakże mamy wierzyć w dary, skoro nie możemy doczekać się, ażeby nam dano to, do czego mamy prawo, czego możemy żądać. Czy rząd wybuduje kanał z Bogumina do Krakowa, jako przedłużenie kanału z Wiednia do Bogumina? Rząd uczynił wszystko, ażeby poprzestać na kanale do Bogumina, a Kraków i Galicyę zbyć obietnicą, o której wiadomo z góry, że nie będzie spełnioną. Wprawdzie z Wiednia nadeszły w tej sprawie pomyślne wiadomości, że mianowicie już w najbliższych dniach nastąpi zwiedzenie trasy kanałowej na przestrzeni aż do Krakowa, ale chociaż kronikarze bywają z urzędu optymistami, ja nie ufam jeszcze i uwierzę w kanał dopiero wtedy, gdy zostanie już wybudowany. Zwiedzanie trasy i przeróżne inne czynności mogą być dokonane dla ugłaskania opinii publicznej, a na budowę będziemy czekać tak długo, dopóki to się będzie podobało niemieckim ministrom i hofratom.

Pomiędzy wyrobami przemysłu niemieckiego, zalewającymi kraj nasz, niepoślednie miejsce zajmują rozmaite przetwory chemiczno-lekarskie, które publiczność nasza kupuje i spożywa nawet bez porady lekarskiej. O niektórych przetworach tego rodzaju zamieścił w ostatnim numerze „Przegląd lekarski“ następującą notatkę, którą przytaczamy dosłownie:

„Tak zwane soki mięsne, wyrabiane przez fabryki niemieckie, rzekomo przez wyciśnięcie świeżego mięsa wołowego, zbadali w ostatnich czasach w monachijskim zakładzie hygienicznym Horiuchi i Geret (*Muench. med. Woch.* 1908, Nr. 17). Według badań tych są te „soki“ (Puro, Robur) prostą mieszaniną białka jaj z wyciągiem mięsnym, na co wskazują zarówno rozbiory chemiczne, jak i odczyny biologiczne (swoista precypitacya). Do podobnych wniosków doszli już wcześniej Brehmer (Zjazd lek. i przyr. niem 1890) i Hutchinson (Lancet 1902), z których drugi oświadcza, że każdy może sobie niezmiernie tanio sam sfabrykować taki „sok“ mięsny, za jaki drogo zapłaciłby w handlu: wystarczy białko jaja, zmieszane z równą ilością wody, przecedzić przez muślin i dodać dla smaku dowolną ilość wyciągu mięsnego Liebiga, rozpuszczonego w ciepłej wodzie. Fabrykanci „soków“ podnieśli gwałtowny protest przeciwko tym badaniom, wskazującym, że publiczność przez długie lata wprowadzano w błąd“. Nam się zdaje, że to wprowadzanie wbłąd, czyli poprostu oszukiwanie praktykuje przemysł niemiecki także na innych polach, zwłaszcza wobec Galicyi.

h. j—e.

Bandytyzm w Krakowie.

Wypadek niezwykle śmiałego, na wzór warszawski urządzonego wymuszenia, zaszedł przed kilku dniami w Krakowie. Oto do mieszkania pp. Maraszkiewiczów przy ulicy Krowoderskiej l. 16 przybyło w porze południowej dwóch młodych ludzi o przyzwoitym wyglądzie i dostatnio ubranych, z których jeden wszedł do pokoju, drugi zaś pozostał w sieni. Ten, który wszedł do mieszkania, przedstawił się jako członek warszawskiej partyi bojowej i zażądał kwoty 120 koron. Dla poparcia żądania wydobył jakieś papiery legitymacyjne oraz browning, którym zagroził na wypadek zaalarmowania sąsiadów. Przerażeni pp. Maraszkiewiczowie byliby może zaraz pieniądze śmiałemu bandycie wręczyli, nie mieli jednak gotówki w domu, polecili przeto rzezimieszkowi zgłosić się o trzeciej popołudniu. Istotnie o oznaczonej godzinie obaj bandyci się stawili i pieniądze odebrali.

Mimo, iż pp. Maraszkiewiczowie, w obawie przed zemstą, policyi o niesłychanej bezczelności rzezimieszków nie zawiadomili, wiadomość o tem rozeszła się po mieście, w następstwie czego policya zajęła się wyśledzeniem bandytów i jednego z nich, 24-letniego Antoniego Sieragowskiego, rodem z Warszawy, aresztowała. Towarzysz jego bandyckiej wyprawy, 19-letni Pieprzak, z Krakowa, zbiegł, zdaje się, do Królestwa Polskiego.

Wesoła sufrażystka.

Pełna humoru scena, świadcząca o niezwykłej pomysłowości sufrażystek angielskich, rozegrała się niedawno przy wyborach municypalnych w Londynie. Według zwyczajów angielskich kandydaci do rozmaitych ciał prawodawczych, zgłaszając swoje kandydatury, urządzają zebrania publiczne pod gołem niebem.

Dla udaremnienia takiego zgromadzenia, a zwłaszcza dla przeszkodzenia pewnemu mówcy liberalnemu, nie odznaczającemu się sympatyą dla współczesnych dążeń kobiet angielskich, chwyciła się niezwykłego środka jedna z sufrażystek angielskich. Oto gdy już wielka ilość ludzi zebrała się koło kandydata, który rozpoczął rozwijać swój program, nagle doleciał z końca ulicy odgłos dzwonu. Wszyscy naraz odwrócili głowy od mówcy i skierowali je w stronę, z której dochodziło dzwonienie. Oczom im przedstawił się humorystyczny widok, bo oto w szybko jadącej dorożce stała na siedzeniu młoda i przystojna dziewica, potrząsając wielkim dzwonem. Tak wjechała w ciżbę ludzi, na chwilę nie przestając ustawicznego dzwonienia. Rozweselony tłum przyjął zjawienie się jej oklaskami, odwracając się od nieszczęśliwego kandydata, który nie mógł przekrzyczeć swej humorystycznej przeciwniczki.



Bandytyzm w Krakowie: Antoni Sieragowski.

Wesele w Petersburgu.

(Do illustracyj na stronie 3 i 4).

Rosya i Szwecya, dwie bliskie sąsiadki, które w ciągu ubiegłych wieków tylekroć z sobą zawzięcie wojowały, zawarły obecnie cichy sojusz, jednak nie na podstawie umów dyplomatycznych, lecz związku małżeńskiego.

Książe Wilhelm szwecki, drugi syn panującego obecnie Gustawa Adolfa, połączył się przed kilku dniami w Petersburgu węzłami małżeńskimi z ośmnastoletnią księżniczką Maryą Pawłówną, córką wielkiego księcia Pawła z pierwszego jego małżeństwa z księżną grecką. Ojciec panny młodej nie był obecnym na ślubie swej córki, po śmierci bowiem pierwszej żony zawarł ślub morganatyczny, wskutek czego zerwane zostały wszelkie stosunki z dworem rosyjskim i książe przemieszkuje stale w Paryżu. W wydaniu też swej córki za mąż, wielki książe nie brał najmniejszego udziału, a wszystkie przedwstępne pertraktacye załatwiał sam dwór rosyjski wspólnie z królem szweckim, który na obrzęd zaślubin przybył do Petersburga.

Po długich rokowaniach ustalono w intercyzie przedślubnej posag księżniczki na trzy miliony pięćset tysięcy rubli, ponadto dwór rosyjski zobowiązał się wystawić własnym kosztem młodej parze pałac w Szwecyi.

Podczas pobytu swego w Petersburgu, król Gustaw Adolf zwiedzał szczegółowo zabytki historyczne rosyjskiej stolicy, a nadto był obecnym na jednem posiedzeniu Dumy państwowej. Króla powitał tam wiceprezes ks. Wołkońskij, poczem król wraz z kilku dygnitarzami zajął miejsce w loży wielkoksiążęcej. Po skończeniu mowy opozycyonisty posła Szingarewa król prosił o przetłomaczenie mu kilku ustępów z wywodów tego posła, i wyraził swą uwagę, iż opozycya rosyjska ma widocznie dobrych posłów, poczem prosił o pokazanie mu prezesa drugiej Dumy, Gołowina i przywódcy kadetów Milukowa.

Pierwszy w Polsce „drapacz chmur".

(Do illustracyi na str. 4).

Wzrost cen placów w wielkich miastach, który postępuje jednocześnie z rozwojem przemysłowym



Wesoła sufrażystka: Sufrażystka angielska przeszkadzająca ustawicznem dzwonieniem wywodom kandydata.

i handlowym danej miejscowości, zmusza do jaknajlepszego wykorzystania każdego kawałka ziemi. W New-Yorku i Chicago, gdzie ziemia jest najdroższa bodaj z całego świata, od kilkudziesięciu lat pomysłowi i praktyczni Jankesi zaczęli ją eksploatować nietylko wzdłuż i wszerz, lecz i wgłąb oraz wzwyż. Pobudowano więc domy, które mają po kilkanaście pięter pod ziemią i po kilkadziesiąt nad poziomem ulicy.

U nas metoda ta dotychczas stosowania prawie nie miała, a to z dwóch powodów: po pierwsze, że budowa wyższych pięter jest kosztowna, tak że komorne nigdy wyłożonego na budowę kapitału nie oprocentuje; a powtóre, że nasze urządzenia wodociągowe i przeciwpożarowe są przystosowane do nieruchomości przeciętnej wysokości, tj. do domów 3—4 piętrowych. Na to więc, żeby pójść za przykładem Amerykanów, muszą się złożyć conajmniej dwa warunki: możność znacznego oprocentowania kapitału i zabezpieczenie przeciwpożarowe zapomocą specyalnych, własnych urządzeń.

Szczególniej pierwszy z tych dwóch względów sprawił, że szwedzkie towarzystwo akcyjne „Cedergrin“, eksploatujące w Warszawie telefony na warunkach monopolu, zdecydowało się zbudować w tem mieście pierwszy taki „drapacz chmur“, wysokości 14 pięter normalnych. Tak więc przy ulicy Zielnej pod l. 39, tuż obok stacyi starej rozpoczęto zakładać fundamenty pod gmach, wysokości 50 mtr.

Gmach ten będzie prawie dwakroć wyższy od stacyi obecnie istniejącej, liczącej 7 pięter, a dominującej nad całą okolicą śródmieścia Warszawy. Oczywiście pod taki gmach muszą być dostosowane odpowiednie fundamenty: będzie to olbrzymich rozmiarów blok żelazno-betonowy. I cały budynek będzie również z zastosowaniem konstrukcyi i stropów żelazno-betonowych wzniesiony. Oczywiście gmach zaopatrzony będzie w kilka wind, oświetlenie elektryczne i ogrzewanie centralne, a specyalne maszyny będą doprowadzać wodę na najwyższe piętra — do użytku codziennego oraz do wężów na wypadek pożaru.



Adolfina Zimajer.

Plany i kosztorysy gmachu, sięgające pokaźnej sumy 300.00 rb. — opracowane zostały przez architekta warszawskiego, pana Br. Rogójskiego, twórcę wielu pięknych gmachów syreniego grodu.

Adolfina Zimajer.

Niezwykle miłą wiadomość podały dzienniki krakowskie, szczególniej dla zwolenników lżejszej muzyki — a tych w Krakowie legion — o mającej wkrótce, 15 maja, nastąpić produkcyi wysoko cenionej w kołach przyjaciół teatru artystki, p. Adolfiny Zimajer.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad stanowiskiem, jakie talentem i pracą zajęła ta artystka w sztuce nietylko naszej lecz także i obcej, występując z olbrzymiem powodzeniem w Niemczech; wymowny wyraz temu dawała niejednokrotnie prasa codzienna i fachowa, która dla artystycznych usiłowań p. Zimajer w dziedzinie muzyki lekkiej, miała zawsze wyrazy żywego uznania i zachęty tem bardziej, że tak łatwe do niebacznego przekroczenia wiotkie granice dobrego smaku i artyzmu umiała p. Zimajer ustrzedz i strzegła ich przez cały ciąg całej swej długiej a świetnej karyery artystycznej.

Dla nas, Krakowian, najznamienniejszy jest ten moment, że p. Zimajer jest dzieckiem starego Krakowa, gdzie stawiała pierwsze kroki na deskach scenicznych, gdzie też często występując zyskiwała sobie stale sympatyę i życzliwość, gdzie też i o jubileuszu cenionej artystki nikt dotąd nie pomyślał.

W przededniu występu tej wytwornej artystki podajemy jej podobiznę z przekonaniem, że ze strony krakowskiej publiczności tłumny udział w zapowiedzianej produkcyi będzie wymownym dowodem uznania i tej sympatyi, którą się p. Zimajer u nas cieszy a na którą talentem i pracą, rzetelnie sobie zasłużyła.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

9 Ciąg dalszy.

— Dziękuję ci, żeś taki grzeczny dla mnie, bardzo ci dziękuję, ale to nic nie szkodzi, że cię znowu zobaczę.

— Czego chcą odemnie? Czym co ukradł? Mnie to się zawsze czepiają, sami nie wiedzą czego, a potem zawsze się pokaże, żem niewinny, jak nowonarodzone dziecko.

— Żałuję cię bardzo mój Fredi. A cóż to masz w owem zawiniątku, coś je odrzucił?

— W zawiniątku? w jakiem? Nie miałem przecież żadnego. Wmawiają we mnie.

Ajent podał komisarzowi zawiniątko, rozwinął i zaczęto je przeglądać. Na spodzie, wśród kilku sztuk bielizny i różnych drobiazgów, znaleziono czarną maskę i pulares z literami R. S.

XIII.

— Mnie się to przecież nie zdaje — mówił sędzia Maran.

— A jednak wszystko za tem przemawia — odpowiedział komisarz Haller.

— Są wprawdzie pozory, ale nie dowody. Takie same pozory obarczały Costę i Fryderyka Merka.

— Ależ teraz zupełnie co innego, bo mamy „corpora delicti“, mianowicie czarną maskę i duży pulares z monogramem R. S.

— Monogram niczego nie dowodzi, bo przecież różne mogą być imiona i nazwiska na R. i S., a nietylko Roberta Sandtnera.

— I jabym tosamo powiedział, gdyby nie to, że skorom go tylko wdowie pokazał, natychmiast przyznała, że był własnością jej męża.

— Ale którędy morderca tam się dostał?

— To przecież bardzo jasne. Nie ulega wątpliwości, że ten urwis był w zmowie z pokojówką Zofią. Ona go wpuściła do pokoju Roberta Sandtnera.

— Jeżeli już wybrał się na rabunek, to czemuż poprzestał na porwaniu pularesu, w którym zapewne nie wiele znalazł pieniedzy.

— I to nie trudno wyjaśnić. Dostał się tam z zamiarem obrabowania Sandtnera, lecz zaledwie zadał mu cios śmiertelny, zanim jeszcze większego rabunku dokonać zdołał, usłyszał kroki w przyległym pokoju; spłoszony pochwycił pulares i wyskoczył przez okno. Przecież wiemy, że właśnie tego samego czasu byli w pokoju Sandtnera Merk i Costa, zatem Fredi usłyszał kroki jednego z nich i to go spłoszyło.

— Rozumowanie pańskie jest bardzo ścisłe, temu nie przeczę, ale w takim razie, jakże sobie wytłomaczę stosunek Elli Gerlach z tym nieznajomym, którego ajenci u niej wytropili?

— Zdaje mi się, że ten nieznajomy i Ella Gerlach najmniejszego nie mają związku z morderstwem Sandtnera. Opiera się pan tylko na samych przypuszczeniach, gdy ja mam i „corpora delicti“ i skargę telefoniczną zamordowanego. Proszę sobie tylko przypomnieć ostatnie słowa Sandtnera, wyrzeczone do telefonu; przecież wyraźnie powiedział o czarnej masce, a tę maskę miał Ferdi przy sobie. Pulares uznała Sandtnerowa za własność zamordowanego, więc jakże można wątpić?

— Istotnie brak mi argumentu, żeby panu zaprzeczyć, a jednak mam to najgłębsze przekonanie, że mordercy upatrywać należy jedynie i wyłącznie w owym nieznajomym.

— Jeżeli pan pozwoli, rozpocznę zaraz przesłuchanie w pańskiej obecności.

— Bardzo proszę.

Komisarz Haller kazał przyprowadzić więźnia. Wszedł Fredi, skuty kajdanami, pod strażą dwóch żołnierzy policyjnych. Był zupełnie spokojny, bo oswojony już z policyą, ze śledztwem, z więzieniem. Twarz miał nawet po części figlarnie wesołą.

— Czyja to maska?... — zapytał komisarz Haller.

— Nie wiem panie komisarzu — odpowiedział Fredi.

— Skąd wziąłeś ten pulares?

— Ja go nie wziąłem panie komisarzu.

— A jakimże sposobem miałeś go przy sobie?

— Ja go nie miałem przy sobie.

— Kłamiesz. Agent policyjny widział, jak przy aresztowaniu wyrzuciłeś i maskę i pulares.

— A jeżeli widział, to cóż z tego?

— Nie wykręcaj się, tylko mów prawdę.

— Jak ja mogę mówić, kiedy mnie te łańcuszki gniotą. Pan komisarz niema miłosierdzia nademną. Ja wniosę zażalenie do pana prezydenta sądu.

— Zanim wniesiesz zażalenie, odpowiedz, dlaczego odrzuciłeś od siebie maskę i pulares.

— Poco pan komisarz się pyta, kiedy to łatwo zgadnąć; jakby przy mnie te rzeczy znaleziono, toby pan komisarz zaraz posądzał mnie o co złego. Rzuciłem i tyle.

— A skąd je wziąłeś?

— Znalazłem.

— Gdzie?

— W ogrodzie belwederskim.

— Kiedy?

— Kilka dni temu, około południa.

— Którego to było dnia? Czy nie ósmego lipca?

— Tak mi się zdaje.

— Która była wtedy godzina?

— Panie komisarzu, ja niemam zegarka, to powiedzieć dokładnie nie mogę; wiem tylko, że jakoś koło południa.

— A gdzie byłeś przedtem?

— Chodziłem po Rennweg, bom szukał zajęcia w drukarni rządowej.

— Skoroś tamtędy chodził, to musisz wiedzieć, że przed południem zamordowano bankiera Roberta Sandtnera, tego właśnie, którego pulares miałeś przy sobie i wyrzuciłeś.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Szarada.

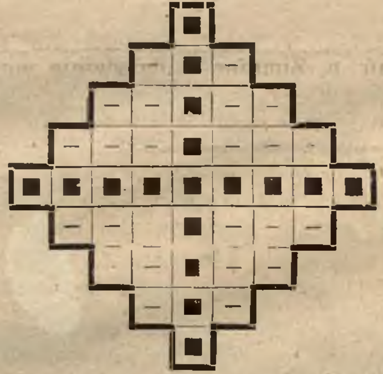
Ułożył Z. Gaudnik Stary Sącz.

Pierwsze z kreską, to zwierzę domowe,
Drugiem się dzieli różnice rasowe,
Trzeciem się zawsze braci tytułuje,
Przyjaciół swoich także tak mianuje.
Poszukaj sobie w imionach całości,
Jeśli posiadasz trochę cierpliwości.

Logogryf.

Ułożył I. W.

Litery czytane w kierunku pionowym i poziomym dadzą nazwisko malarza polskiego.



1. Spółgłoska. 2. Sława. 3. Roślina. 4. Miasto w Kaliskiem. 5. ? 6. Lud pierwotny 7. Błazen. 8. Narząd wzroku. 9. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy utwór Zycha »Echa leśne«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 18.

Szarada.

Armata.

Arytmogryf.

Nowości illustrowane.

Zagadka.

Protesilas i Laodamja.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: F. Niepokój Krosno, M. Grodzicka, Dębniki, K. Fuchs Czeremchów, I. Wielgus Wadowice, W. Masiuk Dębniki, Z. Gaudnik Stary Sącz, M. Stachowicz Kraków, R. Jaworski Kraków, J. Pieniążek Lwów, O. Tłuchowski Warszawa, R. Czaplicki Kraków, O. Górkowa Chyrów, J. Diehl Stryj, A. Wojciechowski Tarnów, A. Brachocki Warszawa, B. Wojde Dąbrowa, M. Zalewska Warszawa, S. Kubacki Lwów, Kwapiński Równe, Z. de Boulangé Gawłówek, M. Arbesbauer Lwów, A. Bocsoń Bóbrka, W. Ausländer Kraków, W. Ropek Warszawa, M. Kuzia Wadowice, Ks. J. Mamak Harbutowice, W. Laskowski Warszawa, K. Michalczewski Złoczów, M. Małaczyński Pikułowice, H. Garfunkel Kraków, J. Badura Rożdzień, F. Bogdalska Koropuż, A. Bobrowska Kraków, E. Reich Kraków, T. Kopystyński Lwów, Z Turku Kraków. J. Gomulińska Bóbrka, Haasówna Bóbrka, F. Kalita Gawłuszowice, J. Tondyra Bieńkówka, F. Miller Zagurów.

Nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymał przez losowanie p. Stanisław Kubacki ze Lwowa. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki

Z półek księgarskich.

Prasie peryodycznej przybył świeżo nowy organ młodzieży polskiej »Łan Młodzieży«, który witamy z prawdziwą radością. Dwutygodnik ten, począwszy od okładki wykonanej według rysunku p. Gramatyki Ostrowskiej, aż do najmniejszej notatki redakcyjnej odznacza się wybornymi artykułami. W pierwszym artykule, zatytułowanym »Nasz program« mamy przedstawione w pięknej formie marzenia i nadzieje młodszego pokolenia, dalej następuje »Konstytucya Trzeciego Maja«, »Na najbliższą metę«, poetyczne »Fragmenty« i wiele innych utworów, odźwierciadlających piękne dusze i serca naszej młodzieży szkolnej.

Głosy publiczne.

Dla dobra ludzkości wynalazł aptekarz **A. Thierry** swój **balsam i maść centyfoliową**, o których światowej sławie świadczą niezliczone podziękowania. — Dwa te, światowo sławne, w swej leczniczej skuteczności nieprześcignione środki, nie podlegające nigdy zepsuciu, są prawie zowsze pomocne i skuteczne. Dwa te światowo znane środki domowe powinno się mieć zawsze w domu na składzie, a odrzucać wszelkie naśladownictwa, jako bezwartościowe i karze podlegające. **Balsam Thierry'ego** 12 małych, lub 6 podwójnych flaszeczek K. 5·—, a **Thierry'ego maść centyfoliowa** 2 słoiki K 3·60 są do sprowadzenia z **apteki pod Aniołem stróżem A Thierry'ego w Pregrada koło Rohitsch.**

Hotel i Varieté „Bristol“ we Lwowie.

Z małych, skromnych początków, z restauracyjki założonej 1894 r., doprowadził znany we Lwowie przedsiębiorca p. Zygmunt Zehngut, swój zakład do wspaniałego rozwoju i zapewnił mu pierwszorzędne stanowisko w szeregu tego rodzaju przedsiębiorstw.

Dziś jest „Bristol“ chlubą Lwowa i nietylko miejscowa publiczność, ale i wszyscy przejezdni korzystają z nadarzającej się sposobności, by w znakomicie pod każdym względem prowadzonem „Etablissement“ Zehnguta spędzić chwil kilka.

„Etablissement“, to stworzone jest na wzór najsławniejszych tego rodzaju miejsc rozrywek zagranicą i połączone z hotelem i restauracyą. Kopia godna oryginału. Nietylko bowiem teatr rozmaitości jest pod względem artystycznym wprost niezrównanym, nietylko hotel postawiony na najwyższym możliwie poziomie, ale i restauracya jest wykwintna i prawdziwie hygieniczna, a piwnica zaopatrzona w najznako-



1. Personal restauracyi »Variete«. 2. Artyści »Variete« Bristol. 3. Techniczny personal »Variete«. 4. Personal kucharski. 5. Personal restauracyi »Bristol«. 6. Personal hotelu »Savoy«.







7. Personal hotelu »Bristol«. 8. Naczelnicy biur. 9 Personal bufetowy.

mitsze trunki. — „Variete" Bristol cieszy się od dawna zasłużoną popularnością wśród lwowskiej publiczności. Założone na wzór amerykańskich miejsc rozrywek, zapewnia odwiedzającym je wysłuchanie programu, złożonego z rzeczy lekkich, prawdziwie wesołych, a nie banalnych i trywialnych. Ale bo też właściciel tego „Variete" sprowadza wyłącznie pierwszorzędnych i znanych arty-



Zygmunt Zehngut.

stów, umiejących wśród widzów i słuchaczów wywołać nadzwyczajne efekty. Łączy się tam sensacyjność z nowością i doskonałością. Wartość teatrzyku podnosi widownia obszerna, ze smakiem urządzona, jasna, doskonale wentylowana i oświetlona, z wygodnemi bardzo siedzeniami.

Dalszą zaletą, ściągającą każdego wieczoru tłumy widzów do „Bristolu", jest jego słynna we Lwowie z doskonałości restauracya. Znaleść tam można wszystko, co powinno być w najwytworniejszej restauracyi. Potrawy przyrządza się znakomicie w kuchniach, których czystość wprost pieści wzrok. Kucharze kwalifikowani, piwniczni znakomici, zapewniają restauracyi Zehnguta powodzenie u najwybitniejszych smakoszów. Nic dziwnego też, że gromadzą się tam sfery prawdziwie eleganckie, śmietanka towarzystwa. Mimo wszystkie zalety zaś, ceny są nietylko niewygórowane, ale zadziwiająco niskie.

Taką samą sławą cieszą się hotele Zehnguta we Lwowie, których posiada on trzy obecnie:

„Bristol" przy ulicy Karola Ludwika l. 21.,

„Dependence Bristol" w sąsiedniej kamienicy

i „Savoy" przy ulicy Sobieskiego l. 7.

Niczem nie można tak bardzo przyczynić się do wzmocnienia ruchu obcych podróżnych w danem mieście, jak właśnie przez dobre, pierwszorzędne hotele. One to są niejako tajemnicą powodzenia, pociągającego obcych do Paryża, Londynu, Wiednia, Berlina. W niezrównane pod tym względem ślady zagranicy idzie konsekwentnie p. Zehngut, oddając tem niepowszednie usługi miastu.

W hotelach Zehnguta bowiem znajduje podróżny doskonałe pomieszczenie, pokoje jasne i obszerne a wygodne, znakomicie, z komfortem umeblowane, oświetlenie elektryczne, nadzwyczajną czystość, niezrównaną usługę, a przytem ceny niebywale rzeczywiście niskie.

Zauważyć tu trzeba, że jako hotelarz, ma właściciel „Bristolu" znakomitą praktykę za sobą. Rozpoczął ją mianowicie dzierżawą hotelu angielskiego we Lwowie, a odrestaurowany ten hotel i odnowiony, postawił na bardzo wysokim poziomie. Następnie objął hotel „Bristol", który rozszerzył wnet potem na sąsiednią kamienicę, kiedy zaś i tam brakło miejsca dla garnących się coraz tłumniej gości, założył trzeci hotel, pod zazwą „Savoy".

Dziś sława wszystkich „Etablissement" Zehnguta jest głośną nietylko we Lwowie, nietylko w kraju całym, ale i zagranicą, czego najlepszym dowodem illustrowany dodatek dziennika „die



Pani Zehngutowa.

Zeit" pt. „Galizien", poświęcony w znacznej części samemu miastu Lwów, który przynosi między innemi i cały szereg zdjęć artystycznych przedstawiających wnętrza lokali p. Zehnguta, nie szczędząc szczerych słów uznania dla jedynego familijnego polskiego „Etablissement" i wspaniałych lokalów hotelowych.



Budynek hotelu »Bristol«.



Budynek hotelu »Savoy«.



Budynek hotelu »Dependence Bristol«

W sprawie nowej wielkiej szarady.

Podana przez nas w 19-tym numerze szarada zainteresowała bardzo szerokie grono Czytelników, czego najlepszym dowodem ogromna ilość nadesłanych rozwiązań. Niemniejsze zainteresowanie wywołał konkurs na największą liczbę wyrazów, dających się z podanych przez nas liter ułożyć. Ogółem wzięło w tym konkursie udział przeszło 300 Czytelników naszych. Z tego 217 nadesłało wyrazów w ilości od 50—100, 58 w ilości 100—250, 26 w ilości 250—500, a 5 ponad 500. Mianowicie p. **R. Turnowski** z Warszawy 1124 (z czego skreślono 160), p. **S. Trembicki** z Krakowa 1016 (z czego skreślono 206) p. **A. Piasecka** ze Lwowa 948 (z czego skreślono 285), p. **W. Masiuk** z Dębnik 665 (z czego skreślono 115) wreszcie p. **R. Burzyńska** ze Lwowa 530, (z czego skreślono 106).

Nagrodę przeto otrzymał p. R. Turnowski. z Warszawy.

* * *

Z powodu kilku reklamacyi, jakie po ogłoszeniu nazwisk otrzymaliśmy, zawiadamiamy P. T. Prenumeratorów naszych, iż zamieszczone zostały **wszystkie** nadesłane nam, a odpowiadające warunkom rozwiązania. Jeśli kto został pominięty, to bezwarunkowo nie z naszej winy. Widocznie list z kuponem nie doszedł naszych rąk.

* * *

Przypominamy nakoniec, że w nadchodzącą niedzielę 17 b. m. o godzinie 12 w południe odbędzie się rozlosowanie nagród w obecności P. T. Czytelników i Prenumeratorów naszych. Lokal Redakcyi w Krakowie ul. Zacisze l. 7. I. piętro.

Z półek księgarskich.

Macierz Polska. Jako nr. 41 Biblioteki Macierzy Polskiej wyszedł Zbiór powieści i gawęd, ułożony przez dra Franciszka Krczeka. Złożyły się na ów zbiór opowiadania Ignacego Chodźki, Czajkowskiego, Zmorskiego, Dzierżkowskiego, Kraszewskiego; Korzeniowskiego, Bałuckiego i innych autorów polskich. Zbieracz starał się o dobór rzeczy zajmujących, jakoteż zdolnych rozbudzić uczucia patryotyczne, lub też oddziałać na poczucie etyczne. Tekst ozdobił dziesięciu rycinami dr. Władysław Witwicki. Książka liczy stron 401, cena jej 1 kor. 50 hal.

Jako nr. 42 wydała Macierz »Wiersze, piosnki z naszej wioski« Jantka z Bugaja. Zbiór ten wymaga omówienia obszernego, tu godzi się tylko zaznaczyć, że »Wiersze« są zjawiskiem, które wiele powinno dać do myślenia. Na książce tej odbywać można studyum duszy chłopskiej, studyum myśli i uczuć chłopa-obywatela, chłopa patryoty i chłopa... poety. To też książka ta to wprost dokument historyczny, zwierciadło tych wszystkich ewolucyj, przez które przeszło społeczeństwo polskie w latach ostatnich. Ujrzeć, jak owe prądy współczesne, różnorodne, załamały się w psychę »najmłodszej dziedziny« narodu, jakiego dla się poszukały wyrazu (czasem jaskrawego) to nietylko nęcące, ale potrzebne, a nawet konieczne.